№ 7 Warszawa, dnia 2 (14) Lutego roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerowac można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresowac prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

TEATR U GREKÓW.

przez **E. B.**

(Dalszy ciąg).

Wspomnieliśmy już że ostatnie lata Eschylesa zatruła obojętność ziomków, którzy przenosili nadeń wykwintnego, a duchem i pojęciami więcej nowoczesnego Sofoklesa. Wielki ten, od współczesnych najwyżej ceniony poeta, urodził się w cichej wiosce Kolonos, nad brzegiem rzeki Cefizu w Attyce. Młodość jego upłynęła wśród odgłosów bohaterskich walk z Persami; mając lat piętnaście, brał udział w uroczystym chórze młodzieńców, śpiewających hymn zwycięzki na cześć dnia Salaminy. Utwory Eschylesa zapaliły jego wyobraźnię i odkryły mu talent, którego istnienia możeby się był nie domyślił, wśród mniej sprzyjających sztuce dramatycznej okoliczności. Zaczął próbować sił swoich na tem polu, i zrozumiał właściwe swoje powołanie. Już pierwsze wystąpienie było dlań świetnym tryumfem. Zgromadzeni słuchacze wśród których znajdował się Cymon dopiero z wygnania powrócony, nie szczędzili młodemu autorowi oznak zapału i uwielbienia. Dalsze występy nie zawiodły bynajmniej nadziei, jakie budziła tak świetnie zapowiadająca się przyszłość wielkiego talentu. Dwadzieścia razy w ciągu życia odnosił zwycięztwo nad współzawodnikami na konkursach dramatycznych, sława jego jaśniała długie lata niezmąconym blaskiem, a cześć i uwielbienie ziomków były mu jej najmilszym owocem. Zresztą wszystkie warunki łączyły się jakby naumyślnie, aby życie jego płynęło jednym ciągiem szczęścia i roskoszy. Sława otaczała skronie jego pełną chwały aureolą, osobiste zalety jednały mu szacunek i przyjaźń ziomków, bogactwo otwierało przed nim świat wytwornego piękna, tak odpowiadającego wrodzonym duszy jego instynktom. Zdaje się jednak, że niezgody rodzinne zatruły mu ostatnie lata: syn poety wystąpił z żądaniem aby pozbawiono ojca prawa zarządzania majątkiem, z powodu, że władze jego umysłowe. osłabione wiekiem, czyniły go niezdolnym do tego zajęcia. Wtedy poeta na obronę swoją przeczytał przed zgromadzeniem sędziów ustęp z dopiero co wykończonego Edypa w Kolonie w którym natchnionemi słowy opiewał piękno rodzinnej, błogosławionej od bogów ziemi. Słuchacze sędziowie, uniesieni zapałem patryotycznym i uwielbieniem dla geniuszu autora, osądzili sprawę na jego korzyść. Sofokles umarł właśnie wtedy, gdy dowódzca spartański Lizander zdobywał Ateny, lecz na wieść o śmierci wielkiego męża, ofiarował mieszkańcom kilkodniowy rozejm dla pochowania zwłok tego „którego bogowie przed innymi miłowali“.

Ziomkowie wznieśli mu nad grobem świątynię, w której w dniach wspomnieniu jego poświęconych, składali jakby półbogu uroczyste ofiary.

Sofokles nie trzymał się już formy trylogii przyjętej przez Eschylesa. Najczęściej zamykał rzecz w jednym dramacie, a chór zajmuje też podrzędne stanowisko w jego utworach. Nie ubiegał się on tyle co Eschiles za nadzwyczajnością, bohaterowie jego schodzą do wymiarów więcej naturalnych, ludzkich nawet koturnów niższych kazał używać i mniej się ubiegał o effekta sceniczne.

Sofokles napisał przeszło sto tragedyi, z tych siedm tylko doszło nas w całości, z innych pozostały oderwane fragmenta. Siedm tych dramatów noszą następujące tytuły: Edyp król, Edyp w Kolonie, Antigone, Elektra, Ajaks, Filoktet i Trachinki.

Pierwsze trzy osnute są na mycie o starożytnej Tebańskiej rodzinie Labdakidów, czwarta zbliża się treścią do Orestei Eschilowej, piąta, i szósta odnoszą się do podań o wojnie Trojańskiej, siódmą najsłabszą ze wszystkich przypisują, chociaż zdaje się niesłusznie, synowi Sofoklesa.

Poznajmy w krótkości treść trzech przynajmniej pierwszych tragedyi, osnutych na jednem podaniu. Prastare przekleństwo cięży nad rodem Labdakidów, zły los prześladuje ich uparcie bez najmniejszej winy z ich strony. Wyrocznia Delficka oznajmia panującemu w Tebach wraz z małżonką swą Jokastą królowi Lajosowi, że syn, który ma przyjść na świat, zabije ojca i zaślubi własną matkę. Przelękniony straszliwą groźbą, król Lajos, każe wyrzucić na pustynię tylko co urodzone niemowlę, i żyje sobie spokojnie w tem przekonaniu, że dziecię umarło z głodu lub stało się łupem dzikich zwierząt. Inaczej jednak zrządził przypadek w postaci litościwego pasterza, który ocalił niemowlę od śmierci. Los zdaje się wziął sobie za zadanie opiekować się tem przez własnych rodziców opuszczonem dziecięciem, gdyż następnie bierze je na wychowanie, król Focejczyków Polybos, i okacza taką tkliwą i pełną miłości pieczą, że chłopiec dorasta w tem przekonaniu że jest jego własnym, ukochanym synem. Zdarzyło się jednak raz, że jeden z towarzyszów młodego Edypa wyrwał się wśród zabawy z wiadomością, że tenże nie jest synem króla Polybosa. Zmartwiony młodzieniec udaje się do świątyni w Delfach; tam Pythia udziela mu tajemniczą przestrogę; aby strzegł się być w obecności swych rodziców, bo podług przepowiedni zabije swego ojca i zaślubi własną matkę. Przepowiednia jak grom uderza w jego serce napełniając je trwogą i przerażeniem. Gdzież są jego rodzice? Polibos i jego małżonka zapewniają Edypa, że jest własnem ich dziecięciem, więc wierzy im naturalnie, i uważa za fałszywą wiadomość udzieloną przez towarzysza. Miałżeby on być przyczyną śmierci, tyle ukochanego upiekuna swych lat dziecięcych? Zdaje się to niepo-

dobnem, lecz żeby uniknąć wszelkiej ku temu sposobności, opuszcza dom rodzicielski i wybiera się na wędrówkę w świat szeroki.

Pewnego razu spotyka na drodze starca liczną otoczonego świtą, który rozkazuje mu ustąpić z drogi.

Edyp, oburzony wyniosłym tonem nieznajomego wszczyna kłótnię i zabija własnego ojca Lajosa. Nie wiedząc jednak o niczem, udaje się ze spokojnem sumieniem w dalszą podróż i dopiero po kilku latach przybywa znowu do Teb, które właśnie pustoszy dziwny potwór, zwany sfinksem. Siedzi on na wysokiej skale, zadaje przechodniom zagadki i pożera natychmiast nieszczęśliwych, którzy takowych stosownie rozwiązać nie potrafią. Lud przyprowadzony do rozpaczy ofiaruje tron i rękę owdowiałej królowej temu, kto potwora tego zmódz potrafi. Ha! myśli sobie Edyp, życie moje niewiele warte i do strasznej zbrodni przeznaczone, nie ma go co żałować, a może też uda mi się oddać własną przysługę tym poczciwym Tebańczykom. Idzie więc do potwora, który mu następną daje zagadkę. Co to za zwierzę, co z rana na czterech, w południe na dwóch a wieczorem na trzech chodzi nogach? Człowiek! odpowiada przytomnie Edyp, a zrozpaczony potwór rzuca się ze skały w morze. Zwycięzca zaślubia królowę i panuje mądrze i łagodnie w Tebach. Kilka lat trwał szczęśliwy pokój, a Edyp kochany był i wielbiony przez swoich poddanych. Tymczasem wybuchła w Tebach okropna zaraza, która porywała codziennie tysiące ofiar. Zapytana o przyczynę wyrocznia Delficka odpowiada, że jest to kara bogów za zabójstwo króla Lajosa, i grozi, że dotąd ta klęska nie ustanie, dopóki morderca wynalezionym nie będzie. Tutaj rozpoczyna się dramat. Edyp śle po niewidomego wieśniaka Tyrezyasza. Ten zna straszliwą tajemnicę, lecz obawia się ją odkryć, waha się długo, wypowiada wreszcie, lecz Edyp uwierzyć nie chce. Wszystko zdaje się przeciw temu świadczyć, więc król wpada najpierw na myśl że to ktoś z zawistnych chce w ten sposób jego dobre imię i cześć u ludu zniweczyć, a może nawet tronu pozbawić.

Rzeczywiście, przypomina sobie, że ma niechętnych. Oto naprzykład, brat Jokasty Kreon oddawna zazdrosnem spogląda okiem na intruza, zagradzającego mu drogę do tronu, do którego najbliższe mniemał mieć prawo. Czyż nie on to przemawia przez usta ślepego wieszcza? Opierając się na tem Edyp skazał szwagra na wygnanie, lecz mimo to wróżba starca utkwiła w jego myśli i odebrała mu spokój duszy. Złe przeczucia dręczą jego serce, daremnie uspakaja go Jokasta, tłomacząc, że często bardzo rzeczywistość zadaje kłam wróżbom i wyroczniom. I tak naprzykład, wyrocznia powiedziała, że pierwszy jej małżonek Lajos zginie z ręki własnego syna, tymczasem syn ten umarł w dzieciństwie, a Lajos przed kilku zaledwie laty padł ofiarą rozbójniczego napadu. Strwożony Edyp pyta o szczegóły, jak wyglądał Lajos w jakim był wieku, gdzie napadł go morderca? Odpowiedzi królowej utwierdzają go w strasznym domyśle... Tak, to on nie kto inny jest tym zabójcą, jednak nie przeczuwa dotąd, że jest synem zamordowanego. Przybywa właśnie poseł z kraju Fokiów donosząc o śmierci Polybosa i wzywając Edypa na tron osierocały. Biada! woła ten ostatni, kto poczci teraz Pityjską wyrocznię, skoro słowa jej kłamią. Oto ojciec mój umarł spokojnie na swem łożu, a dłoń moja nie skalana krwią jego.

Lecz poseł ma jakąś tajemnicę którą chce odkryć: oto Edyp nie jest synem Polybosa! Kiedyś przed laty pasterz tebański powierzył mu dziecię, które król bezdzietny przyjął za swoje i za następcę sobie przysposobił. Edyp rozkazuje przyprowadzić pasterza, i strwożonego pyta groźnie: co to było za dziecię? Prawda wychodzi na jaw, Jokasta odbiera sobie życie, a Edyp sam sobie wyłupia oczy, aby swej hańby nie widzieć. Chce puścić się w świat o kiju żebraczym, ale Kreon chwytający w swe serce najwyższą władzę, zatrzymuje go jako więźnia w Tebach. Czyż jest serce, które się nie ulituje nad losem nieszczęśliwego?

Pełen najszlachetniejszych uczuć staje się zbrodniarzem nie z własnej winy, właśni poddani uwielbiający go przedtem odwracają się odeń ze wstrętem i wzgardą po wykryciu prawdy. Walczy on tak wytrwale przeciw przeznaczeniu, które straszliwą klątwą wisi nad jego głową, wszystko daremnie. Los zdaje się umyślnie otaczać go swemi opiekuńczemi skrzydły i pomagać mu do wzniesienia się, aby potem strącić bez litości w tem głębszą przepaść zbrodni i rozpaczy!

Drugi dramat p. t. Edyp w Kolonie rozpoczyna się od waśni o tron między bratem Jokasty Kreonem a synami Edypa Eleoktem i Polinicesem. Na żądanie ludu Edyp zostaje wygnany z Teb, gdyż jemu to głos publiczny przypisuje panujące w kraju zamieszki. Dwie dusze anielskie, córki, niewidomego starca Antygona i Izmena, opuszczają rodzinne miasto, wyrzekają się wszelkich radości życia, aby wspierać niepewne kroki i osładzać ciężką dolę tułacza. Prowadzony przez nie, przybywa Edyp do Kolonos, wioski w pobliżu Aten leżącej, i zatrzymuje się dla spoczynku w gaju poświęconym Eumenidom. Rzewnemi słowy błaga on starców Kolońskich o schronienie i gościnność, niech ich nie trwożą jego zbrodnie, gdyż on raczej cierpieniem niż czynem brał w nich udział, więc sprawiedliwi bogowie za litość dla nieszczęśliwego błogosławieństwem odpłacą. Król Tezeusz bierze wspaniałomyślnie starca pod swoją opiekę, więc jak w Orestei Eschylowej tak i tutaj Attyka jest ziemią błogosławioną od bogów, na której błyska dla nieszczęśliwych słodka nadzieja spokoju i pojednania.

Tymczasem wyrocznia Delficka oznajmia, że obecność Edypa w Tebach stanie się błogosławieństwem dla kraju i położy koniec krwawej waśni. Przybywa najpierwej Kreon, następnie wygnany Polinices i błagają Edypa, aby powracał do Teb. Starzec nie daje się ubłagać, odkrywa chytrość i obłudę Kreona, i synowi odmawia także swego współudziału a zarazem przepowiada smutny jego koniec. W tem zrywa się gwałtowna burza: Edyp czując zbliżającą się ostatnią godzinę, wchodzi do groty, gdzie ma umrzeć, chór śpiewa tymczasem cudną modlitwę do bogów podziemnych, aby łagodną śmierć zesłali nieszczęśliwemu rozbitkowi po burzach życia i powitali go słodkiem słowem pokoju, za którym tak długo się uganiał a jednak nigdy nie zaznał.

Dramat kończy się lamentem osieroconych córek.

Na tem samem tle osnutym jest trzeci dramat Antigone. Obaj synowie Edypa Eteokles i Polinices zginęli w bratobójczym boju. Kreon schwycił najwyższą władzę a uniesiony zemstą zabronił pod karą pogrzebać ich ciała. Antygona, ów wzór pięknej duszy niewieściej jest równie tkliwą siostrą jak była pełną poświęcenia córką. Wyszukuje ona trupy poległych braci, aby im ostatnią oddać posługę, lecz chwytają ją na gorącym uczynku żołnierze Kreona. Zapytana, czy wiedziała o rozkazie odpowiada z godnością, że wiedziała, ale nie lęka się kary za nieposłuszeństwo, bo cóż znaczy rozkaz śmiertelnika w obec prawa bożego, które nakazuje cześć umarłych? Temu prawu była ona posłuszną, i umrze pokrzepiona uczuciem spełnionej powinności. Nadchodzi siostra oskarżonej Izmena, która chce przyjąć na siebie ciężar winy: obie więc oskarżają się wzajemnie w szlachetnym celu poświęcenia się jedna za drugą, lub przynajmniej podzielenia wspólnego losu. To szlachetne współzawodnictwo nie jest jednak w stanie zmiękczyć serca okrutnika, pozostaje on nawet głuchym na rozpacz syna swego Hajmona, narzeczonego Antygony, który grozi że samobójstwem zakończy dni swoje. Najrzewniejszą częścią dramatu jest pochód Antygony, skazanej na pogrzebanie żywcem. Dziewica skarży się boleśnie na los swój, który ją niepoślubioną, ją nieopłakaną zsyła w ponure cienie Hadesu. Chór odpowiada jej słowami czci i współczucia. Po oddaleniu się skazanej przybywa ślepy wieszcz Tyrezyasz, grożąc Kreonowi zemstą bogów za jego okrucieństwo. Trwoga przejmuje duszę tyrana, postanawia pogrzebać ciało zabitych i uwolnić Antygonę. Wydaje stosowne rozkazy, lecz już zapóźno. Antygonę znajdują uduszoną w jej grobie, a obok niej Hajmona, który się przebił sztyletem. Eurydyka, małżonka Kreona odbiera sobie życie w przystępie rozpaczy. Cały ogrom nieszczęścia zwalił się odrazu na głowę Kreona. Poznaje dopiero, że nie ta droga, którą on szedł prowadzi do szczęścia i pokoju i odzywa się słowami, streszczającemi w sobie sens moralny sztuki: „Mądrość tylko wiedzie bezpieczną ścieżką do świątyni szczęścia. Niewolno człowiekowi deptać bezkarnie praw boskich. Gwałtowny cios karze zuchwalstwo, a pokuta staje się niewczesną nauką na starość“.

Z tych trzech utworów nabrać możemy wyobrażenia o charakterze dramatów Sofoklesa. Jest on wszędzie harmonijnym i skończonym, typy jego, jakkolwiek nie przechodzą miary ludzkiej, piękne są jednak i podniosłe. Wyższa sprawiedliwość kieruje losami śmiertelnych, nie pozostawia występków bez kary a niezasłużone cierpienia osładza przebaczeniem i pokojem. Zupełne przeciwieństwo z Eschylesem i Sofoklesem stanowi Eurypides. Był on od nich obu młodszym, gdyż urodził się w 480 roku, w dniu bitwy pod Salaminą, we Flyi, wiosce Attyckiej. Był uczniem Sokratesa i Anasagorasa, a umarł u Archelausa, króla Macedonii. Żył już w epoce moralnego i politycznego upadku Aten, i wybitnemi rysami uwydatnia się ten kierunek w jego utworach. Geniusz obdarza swój naród dziełami wiekopomnemi, lecz właściwie dzieła te są tylko skrystalizowaniem zasadniczych cech ducha narodowego i szczegółowych znamion danej epoki. Eurypides żył w czasach gdy Ateny utracić miały niezależność polityczną ulegając brutalnej przemocy Sparty. Zniknęła już dawna prostota obyczajów i naiwna wiara w bogów. Partya arystokratyczna stała jeszcze na straży dawnych tradycyi religijnych, lecz stanowisko jej chwiało się coraz groźniej pod parciem żywiołu demagogicznego, który w imię postępu poniewierał dawne wierzenia i starał się je zastąpić zasadami sceptycznej filozofii. Brak też Eurypidesowi hartu i wielkości duszy Eschylesa, zarówno jak pewności siebie i artystycznej harmonii Sofoklesa, czuć w nim brak stałej i silnej podstawy, jaką jest wiara w wyższą nieśmiertelną mądrość rządzącą światem. Bez takiej wiary człowiek nie ma punktu oparcia; czuje się igraszką ślepego trafu, wątłą łódką, rzuconą bez steru na rozhukane burzą fale życia. Wprawdzie przerabia on dawne myty, wprowadza bogów na scenę, ale nie wierzy na seryo w ich istnienie, posługuje się niemi jako inwencyą poetyczną nader dogodną do ożywienia i rozwiązania akcyi scenicznej. Głównym i jedynym żywiołem tragicznym w jego utworach są namiętności. Dla tego też Eurypides zbliża się najwięcej do ducha autorów nowoczesnych i najwięcej ze wszystkich

znalazł naśladowców. Kształcili się na nim: Racine, Voltaire, Maffei, Alfieri, tłomaczył Szyller, Göthe zaczerpnął z niej treść do swej Ifigenii w Taurydzie. Od spółczesnych mniej za to był ceniony; przekładano nadeń Sofoklesa i Eschyla, zwolennicy dawnych tradycyi potępiali go otwarcie, jako bezbożnika szerzącego niewiarę i psującego obyczaje. Do nieprzyjaciół jego należał także wielki komedyopisarz ateński Arystofanes; powstawał on przeciw jego pojęciom filozoficznym i wyszydzał jego upodobanie do napuszonych i górno brzmiących frazesów. Późniejsi jednak aleksandryjscy i rzymscy znawcy cenili go wyżej nad poprzedników i temu to przypisać należy, że stosunkowo najwięcej po nim całych sztuk doszło naszych czasów.

Namiętność, jak wyżej powiedzieliśmy, była główną sprężyną akcyi w utworach Eurypidesa. Tak np. zazdrość stanowi osnowę jego Medei. Wiemy, że Medea, biegła wielce w sztuce czarnoksięzkiej, była małżonką Jazona, któremu dopomogła do odzyskania złotego runa. Ten opuszcza ją dla pięknej Kreuzy, córki korynckiego króla Kreona

Skazana na wygnanie Medea, przybywa wraz z dziećmi na wesele i uprasza sobie dzień jeden pobytu nim wyszuka nowe schronienie dla siebie. Dzień ten jednak miał być dniem zemsty. Łagodnemt słowy przejednywa ona Jazona, i udając pogodzoną z losom przesyła przez niego w darze oblubienicy szatę, kunsztownie utkaną. W szacie tej mieścił się ukryty ogień, który miał spalić ciało nieszczęsnej ofiary. W tej chwili wracają dzieci Medei, które Kreuza życzliwie przyjęła, a którym Kreon zapewnił schronienie i opiekę.

W sercu zawistnej i przewrotnej kobiety wre walka między żądzą zemsty a miłością macierzyńską, w końcu zabija własną ręką drogie sobie istoty, gdyż nie może zabrać ich z sobą na wygnanie a nie chce zostawiać ich Kreonowi.

(d. n.)

Modlitwa dziewicy.

Boże! tyś kwiaty z błoń
Na moją włożył skroń,
Słałeś mi blaski, woń
I szczęścia sny.
Tyś uśpił pragnień gwar,
W pierś wlał miłości żar,
Świat ubrał w tęcze, czar,
A schował łzy...

Tyś mnie anioła dał,
Co srebrne skrzydła miał,
Śmiech w oczach, w ustach szał.
Ciszę i maj.
Więc biegnąc w jasną dal,
Wśród marzeń śnieżnych fal,
Nie znałam, co to żal
A znałam raj!...

Lecz przyszły chwile burz,
Zniknął anioł z wonią róż,
I chwastem zarósł już
Miłości grób.
Nie wrócisz wiosny dni?
O! więc daj Stwórco mi,
Spocząć i złożyć łzy,
U Twoich stóp.

Juljan Łętowski.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Znudzona podeszła ku oknu, a skoro otworzenie takowych było wzbronionem, starannie zatem ukryta z poza firanek spoglądała, na piękny ogród otaczający zamek Verrieres, na wielkie drzewa radujące wzrok patrzącego bogactwem rozłożystych gałęzi; na świetne kwiaty różnobarwne, rzucone jak wieńce rozmaitych kształtów, w śród murawnika nadzwyczaj starannie oplewionego, przybierającego aż do złudzenia postać aksamitnego kobierca.

Miejsce to będące świetnym dowodem tak pracy człowieka jakoteż nieprzebranego bogactwa przyrody, kiedyś przystępne dla niej, dziś zamknięte szczelnie, było jakby rajem utraconym pierwszego człowieka, ku któremu zwracał wzrok swej duszy, bez możności przekroczenia jego obrębów.

Zadumana panienka patrzyła na ogród z prawdziwym żalem; zasyłając nieme pożegnanie drzewom, kwiatom, i różnego rodzaju ptakom, jako dawnym swoim znajomym. Do każdego przedmiotu i nieomal do każdej istoty żyjącej, przywiązane były odpowiednie wspomnienia, nieraz bowiem oczyściła korę drzewa z mchu, kwiaty ze szkodliwego robactwa, a okruszyny chleba rozdzielała ptaszynom z całem zaufaniem siadającym na jej głowie i ramionach.

Niespodzianie jednak doznała wstrząśnienia niezwykłego, jakby pod wpływem silnego prądu elektrycznego, a jednocześnie oblicze jej pokraśniało żywym rumieńcem.

Wrażenie wywołane zostało ukazaniem się na głównej ulicy ogrodu młodzieńca dziwnie wdzięcznej postaci, pięknego wzrostu, smukłego, objawiającego tak w ruchach jakoteż w ubraniu, nadzwyczaj staranne wychowanie.

Szedł wolnym krokiem, z twarzą zwróconą ku oficynie; Eugenia przeto ukryta z całem bezpieczeństwem mogła się mu przypatrzyć dokładnie.

Podobnie jak postawa tak i twarz nie zostawiały nic do życzenia. Młodzieniec był urodnym w całem znaczeniu tego wyrazu. Oblicze jego pociągłe i blade odznaczone było wyrazem wielkiej godności. Z oczów jego patrzyła dobroć i nadzwyczajna szlachetność, ale wszelką miękkość niewłaściwą na twarzy mężczyzny, niweczył wąs piękny i pokrętny, nadając postaci młodzieńca pewną rycerskość, tak żywo oddziałującą na wyobraźnię kobiet.

Obraz żywy, będący przed oczami Eugenii, był różnym nadzwyczajnie od wytworzonego przez jej wyobraźnię. Niepodobna było prawie przypuścić, aby piękny młodzieniec był właścicielem zamku, ale widocznie ktoś ze znajomych, przyjaciół lub krewnych, przyjechał do niego w odwiedziny.

Wątpliwość jednak nie była długą, bo w krótce nadbiegł ogrodnik z oznakami największego uszanowania, a zdjąwszy czapkę począł rozprawiać o różnych pracach ogrodowych, prosząc swego pana o rozkazy do jakich zastosuje się jak najściślej.

Znalezienie się młodzieńca było nadzwyczajnie uprzejme; przedewszystkiem prosił starego sługi o nakrycie głowy. Rozkazów nie miał żadnych do wydania, był ze wszystkiego zadowolonym; żądał jedynie aby nowa ławka ustawioną była obok odwiecznego cedru.

Na przyszłość zalecił ogrodnikowi, aby na niego nie zwracał najmniejszej uwagi zachowując się tak, jakby nikogo nie było w ogrodzie.

Rozmowa przeprowadzoną była niedaleko od okien oficyny, a ponieważ staruszek nie dosłyszał trochę, słowa przeto wymówione dobitnie, z łatwością przechodziły do wiadomości Eugenii.

Po ukończonej rozmowie młodzieniec rozpoczął na nowo przechadzkę, krokiem powolnym, z twarzą smutną i zamyśloną.

Tymczasem z ukrycia śledziły go prześliczne oczy, odbierając niezwykłe wrażenia, wywołujące jakieś dziwne poruszenie umysłu i przyśpieszone uderzenia serduszka.

Piękna panienka, jakby oczarowana, nie mogła oderwać wzroku od młodzieńca widzianego po raz pierwszy w życiu. Niepojmowała wcale niebezpieczeństwa podobnego stanu, z całą ufnością pojąc oczy widokiem tak zachwycającym dla dwudziestoletniej panienki, szczególniej skoro jej serce uderzy po raz pierwszy nieznanem dotąd uczuciem.

Niechęć jednak spowodowana doznaną przykrością, staczała ostateczną walkę z odmiennem zupełnie wrażeniem, Rozum więc szeptał do ucha panience:

Młodzieniec jest pięknym, piękniejszym od wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek w życiu widziałaś, ale piękność jest niczem więcej tylko formą, mogącą pokrywać treść zupełnie nieodpowiednią. Górecki będąc nieprzyjacielem kobiet, jest niezawodnie obrzydliwym samolubem, z wyschłem sercem, niezdolnym do żadnego szlachetniejszego uczucia.

Wszelkie jednak wywody rozumu, serce odpychało z odrazą, a wzburzona wyobraźnia lubowała się wydanym rozkazem przez urodziwego młodziana, odnowienia ławki obok starego cedru. Na tej ławce siadywała kiedyś Eugenia, a tem samem wedle tej swawolnej władzy umysłu, zgodność upodobań dwojga młodych ludzi była nadzwyczajną.

Dziwnem zdarzeniem zaszedł wypadek acz drobny, ale niweczący wszelkie podszepty rozumu o ujemnych stronach młodzieńca.

Wzmiankowana już w naszem opowiadaniu gospodyni pani Macquard, była kobietą nadzwyczajnie przedsiębierczą. Utrzymawszy wydział żeński służby zamkowej, była tylko w połowie zadowoloną, bo wydany rozkaz ukrywania kobiet przed oczami właściciela, drażnił ją nadzwyczajnie. Postanowiła przeto koniecznie oswoić dziwacznego Polaka z piękną połową rodu ludzkiego, aby dzierżyć z całą powagą w zamku berło władzy niewieściej. Nie śmiejąc wystąpić wręcz, postanowiła działać w sposób więcej dyplomatyczny, aby na wszelki wypadek znaleźć zawsze środki do uskutecznienia honorowego odwrotu. Widząc przeto dziedzica chodzącego po ogrodzie, wysłała na początek swoją wnuczkę, śliczną dziewczynkę sześcioletnią, ze zleceniem bawienia się w cieniu drzew znajdujących się przy głównej ulicy.

— Jeżeliby się gniewał pan Górecki, myślała, to powiem, że rozkaz przez niego wydany, nie był wcale przekroczonym, bo sześcioletnia dziewczynka nie należy wcale do rzędu kobiet. Jeżeli zaś będzie milczeć, to jutro poślę dwunastoletnią siostrzenicę, i tak stopniowo coraz starsze bo doprawdy to rzecz śmieszna, aby był na świecie człowiek, niemogący znosić widoku kobiet.

Dziewczynka, trzymając w ręku balon, przeszła kilkakrotnie obok pięknego młodzieńca, ale ten za-

topiony w swoich myślach, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wypadek posłużył nadzwyczajnie pani Macquard: balonik unosząc się w powietrzu, został zaczepionym o gęste gałęzie drzewa, i wszelkie usiłowania dziewczynki do wydobycia go z uwięzi, były daremne.

Nie mając innego środka, z całą naiwnością dziecka poprosiła ze łzami w oczach przechodzącego młodzieńca o dopomożenie w kłopocie, ale w ten sposób, aby balon nie był rozdartym.

Górecki początkowo widocznie był zadziwiony tak niespodzianem towarzystwem, jako też i stawionem żądaniem; widząc jednak szczery smutek pięknej dziewczynki, najprzód trzymaną w ręku chustką obtarł jej oczy, pocałował w czoło dla pocieszenia, a znalazłszy żerdź odpowiedniej długości, wydobył balon bez uszkodzenia z pośród gałęzi.

Pani Macquard, widząc taki stan rzeczy, postanowiła kuć żelazo póki gorące. W towarzystwie przeto czterech kobiet najrozmaitszego wieku wpadła do ogrodu, niby dla przeproszenia dziedzica, i zabrania wnuczki. Młodzieniec pomówił z nią jak najuprzejmiej nie pozwalając na zabranie dzieweczki, bo jak upewniał, ta nie przeszkadzała mu wcale, a tem samem mogła biegać po ogrodzie każdego czasu.

Gospodyni, wracając do pałacu, mówiła sama do siebie.

— Oswojenie tego pięknego Polaka z kobietami będzie mniej kłopotliwem aniżeli myślałam może nawet wkrótce rozwinie się słabość odmiennego zupełnie rodzaju.

Opisane zajście, chociaż nader proste, uczyniło wielkie wrażenie na Eugenii. Górecki widocznie był nietylko dorodnym młodzieńcem, ale zarazem dobrym i uczynnym, kiedy nawet dziecięciu w kłopotliwym wypadku nie odmówił swej pomocy. Wszelka zatem niechęć panienki znikła zupełnie. Nowy właściciel nie wiedział wcale o przykrości jej sprawionej, a gdyby powziął o tem wiadomości, to z wszelką pewnością cofnąłby zakaz, wydany przez Busson'a, gdybyzaś ją poznał, to zachowaniem swem dałby jej zawsze dowody największego poszanowania. Wszedłszy raz na tę drogę, wyobraźnia łatwo wytłomaczyła owe zagadkowe polecenie: oddalenia z zamku całej służby niewieściej. Widocznie jakaś kobieta niedobra sprawiła mu wiele przykrości, chciał więc usunąć z przed oczu wszystko, coby mu przypominało zmartwienie, doznane w czasie ubiegłym.

Widocznie były one wielkie i nie przeminęły jeszcze, bo skoro usiadł na ławce obok wzmiankowanego cedru, to dwie wielkie łzy zabłysły w jego oczach i spłynęły po twarzy. Ocknąwszy się z bolesnej zadumy, obtarł je szybko jakby zawstydzony okazaną słabością.

Te dwie łzy jednak padły na serduszko Eugenii, i padły z taką siłą, że zapomniała o wszystkich okolicznościach dotkliwych jej własnego żywota, a bolała jedynie nad cierpieniem nieznajomego. Z jakąż radością stanąwszy obok niego, przelewałaby w jego duszę słowa pociechy i współczucia.

W tej chwili wyobraźnia dotychczas sprzymierzona z serduszkiem, niespodzianie stanęła po stronie rozumu, uwidamiając w umyśle Eugenii postać Józefiny Busson, jako wedle zapewnień marszałka, przyszłej małżonki pięknego Polaka.

Para podobna, przynajmniej pod względem powierzchownym, byłaby nadzwyczajnie dobraną, wzbudzając podziw osób najbardziej nawet wymagających.

Eugenia uczuła wielki ból serca; ale nie było to dla niej bez korzyści, bo marzenia tak niebezpieczne dla jej pokoju, pierzchły w obec obrazu uwydatnionego przez zimną rzeczywistość. Przypomniała ona z szyderczym uśmiechem ciężką pracę mającą być udziałem całego jej żywota; w obec takowej wszelkie marzenia o złotej przyszłości miały znaczenie widziadeł sennych, a mogły wywołać złe następstwa pozbawiając siły koniecznej do staczania codziennej walki z położeniem nadzwyczaj zagrażającem.

Pomimo całej siły woli, postać Góreckiego stawała jednak często w jej myśli, już nietylko podczas dnia, ale i podczas snu; dotrzymała jednak słowa raz danego sobie, nie rzuciwszy nawet przelotnie wzrokiem na ogród leżący przed jej oknami. Co większa życzyła sobie szczerze, aby Busson wynalazł mieszkanie bardzo odległe: chciała przechować nienaruszenie pokój wewnętrzny, ten największy skarb człowieka.

Na nieszczęście Busson mając na głowie rozmaite zajęcia, zniewolony odbywać częste podróże, zapomniał chwilowo o lekcyach muzyki. Eugenia więc mieszkała ciągle obok zamku, będącego dla niej prawdziwem miejscem zaczarowanem.

Przyszłość była zastraszająca: unikanie widoku Góreckiego nie usunęło wcale grożącego niebezpieczeństwa, znalazł się inny pośrednik, wzbudzający w jej duszy niezatarte wrażenia.

Pośrednikiem tym była muzyka. Przepowiednia marszałka była słuszną: Górecki widocznie znudzony samotnością, począł szukać rozrywki w grze na skrzypcach, okazując w tym kierunku niepospolite uzdolnienie. Każde dotknięcie smyczka wskazywało rękę mistrza, a pomijając już niezwykłe wyrobienie techniczne, chociaż i to jest rzecz niemała, nad wszystkiem górowało uczucie niepospolitej potęgi. Osoby nawet z niebardzo rozwiniętą muzykalnością stawali na miejscu bez ruchu, słuchając z przejęciem melodyi, będących wyrazem skarg i nadziei wszystkich cierpiących bez wyjątku.

Engenia jako posiadająca wiele talentu mogącego ją stawić w rzędzie artystek, zostawała w prawdziwym zachwycie, skoro okoliczności pozwoliły jej posłuchać gry pięknego młodzieńca. Wysłuchane dźwięki skrzypców owijały się jak węże około jej umysłu i serca a ona nie zwracała uwagi na grożące niebezpieczeństwo, tonąc w krainie ułudy zagrażającej nader bolesnem rozczarowaniem. Jako kobieta odparła zwycięzko pokusę; jako artystka ulegała zamykając oczy na przepaść rozpostartą przed nogami.

Miesiąc zakreślony przez panią Lucas, do wydania ostatecznego postanowienia: czy ma udać się do domu przytułku, czy też obiedwie pojadą do zamku Karola Pigrenier, upływał za dni kilka. Eugenia sądziła że pod wpływem czasu i rozwagi, opiekunka jej zapomni o szalonych swych zamiarach. Nadzieja jej była mylna: pani Lucas zwiedziwszy potajemnie zamek swego sprzymierzeńca i obejrzawszy poczynione przygotowania na ich przyjęcie, pragnęła jak najprędzej zamieszkać w owym raju ziemskim gdzie wszelkie jej potrzeby miały być zaopatrzone po królewsku. Niespodzianie więc przypomniała Eugenii o nadchodzącym terminie, dodając z obłudną czułością:

— Nie chcę moje dziecię, abyś dla mnie traciła siły i zdrowie przy pracy tak obrzydliwej. Jeżeli nie będę mogła znaleźć miejsca natychmiast w dobroczynności, to będę żebrać w okolicy, zaczynając pielgrzymkę od tego Polaka bogatego, którego gry słuchasz z takiem upodobaniem.

Wedle przysłowia nieszczęście nie przychodzi nigdy samo, ale ciągnie za sobą cały szereg dotkliwych wypadków. Sprawdzonem to zostało w życiu biednej Eugenii, bo niespodzianie zupełnie straciła dodatkowy zarobek, za wiadomą pracę wykonywaną wieczorami lub rankami. Dawny przedsiębierca umarł, a nowy obarczony był liczną rodziną; nikogo więc z obcych nie mógł przypuścić do udziału w zysku.

Eugenia odebrawszy wiadomość tak nieprzyjemną wracała do domu zapłakana: usuwały się z pod jej rąk wszelkie środki ratunku.

Idąc przyspieszała o ile możności kroku, chcąc przybyć jak najwcześniej, celem posłuchania wiadomej muzyki wieczornej, wlewającej tyle pociechy w jej zbolałe serce. Przybyła jednak za późno: we wszystkich oknach zamkowych było ciemno, cisza nieprzerwana panowała wszędzie, a i pani Lucas spała marząc o przyszłych wygodach czekających ją w zamku Karola Pigrenier.

Doznany zawód uczynił boleść Eugenii jeszcze przykrzejszą. Czuła zawrót w głowie, a ból nadzwyczajny w sercu. Wśród cierpień jednak przesuwały się w jej myśli śliczne utwory odgrywane przez Góreckiego. Szczególniej jeden z nich ułożony na tle pieśni polskich, czynił na jej umyśle największe wrażenie. Był to prawdziwy magnetyzm, artysta grający był zarazem autorem tej sztuki, cóż więc dziwnego, że twór ukochanego trafił do serca oddanego mu na zawsze.

Młodzieniec odgrywał często tę sztukę; przypominała mu ona okolice i ludzi oddalonych do których tęsknił znajdując się wśród obcych.

Wysłuchana melodya wielekroć razy tak wpiła się w umysł i w serce Eugenii, że idąc lub wracając od pracy powtarzała ją sobie w pamięci, podkładając na fortepian. Zajmując umysł często tym przedmiotem, doszła do wielkiej wprawy, i chociaż nie dotknęła klawiszy, była jednak przygotowaną do odegrania całości, nietylko z najmniejszemi odcieniami, ale i pewnemi poprawkami odpowiedniemi do zmiany instrumentu.

Ówczesnej nocy pod wpływem boleści i rozdrażnienia, tęsknota jej do fortepianu była silniejszą niż kiedykolwiek. Pani Lucas spała na pierwszem piętrze, a miała sen twardy, zamek był milczący i ciemny, ogród pusty. Okoliczności sprzyjały nadzwyczajnie. Eugenia postanowiła choć półtonem odegrać ulubiony utwór, a nie obliczając następstw usiadła do fortepianu. Początkowo zaczęła grać ścicha, ale wkrótce pod wpływem wzburzonej wyobraźni i podniesionego uczucia, zapomniawszy o otaczających ją warunkach, z całej duszy wykonała utwór, będący źródłem jej utrapienia, i rozkoszy największej.

Każdy człowiek ma w życiu swem chwile niezwykłego natchnienia i takiego wzniesienia duchowego, że częstokroć w całem życiu późniejszem, nie zdobędzie podobnej wysokości. Chwila ówczesna była właśnie taką chwilą, w życiu artystycznem Eugenii. Wykonała wiadomą sztukę dokładnie z uczuciem a nadto z namaszczeniem wyższem prawdziwego talentu. Zaiste gdyby to nie był stan przechodni, gdyby podobne natchnienie mogła znaleźć odpowiednio do życzenia, to mieszkańcy wszystkich stolic europejskich bez wyjątku, przyznaliby jej w świecie muzykalnym palmę pierwszeństwa.

Rozmarzona panienka, a zarazem uradowana własną grą, powtórzyła jedną i tę samą sztukę wielekroć razy a każde nowe wykonanie było coraz pełniejszem, coraz bardziej podnoszącem myśl autora do zaczarowanej krainy ideału.

Pod wpływem gry, a zarazem smutnych myśli, wzruszenie Eugenii stawało się coraz silniejszem, oddychała z trudnością, czuła brak powietrza i jakby dławienie w piersiach. Łzy płynące zaciemniały jej wzrok; sądząc że jej dobrze zrobi świeże powietrze, odskoczyła nagle od fortepianu, i niespodzianie zupełnie otworzyła okno, wychodzące na ogród.

Oczekiwał ją widok niespodziany zupełnie.

Po za oknem stał Górecki z rękami złożonemi jak do modlitwy i wyciągniętemi naprzód błagalnie. Na twarzy jego widoczne były zachwyt i uniesienie, oczy błyszczące.

Eugenia pomimowoli krzyknęła; trudno byłoby wytłomaczyć jednak dla jakiej przyczyny. Gdyby ów krzyk poddanym był pod ścisłą analizę psychologa, to zobaczylibyśmy trwogę i wstyd niewieści w stosunku przeważającym, ale bezwątpienia uwydatnioną byłaby i radość spowodowana tak niespodzianem spotkaniem.

Młodzieniec zdjął kapelusz i w postawie pełnej poszanowania przemówił w te słowa:

— Niech pani raczy wybaczyć mi dwa uchybienia, jakie popełniłem mimowolnie: raz że ośmieliłem się podsłuchać jej gry pod oknami, a powtóre, że przemawiam do pani nie będąc do tego upoważnionym. Są jednak chwile w życiu, w których nie jesteśmy panami własnych czynności.

Jesteś pani wielką artystką, a widocznie nieszczęśliwą, bo inaczej nie byłaby uwydatnioną tak dokładnie wielka boleść, będąca głównym tematem odegranego utworu.

Przy nieszczęściach jednak przechowała pani niezłomną siłę ducha, serce jej pełne wiary i nadziei, pieśni więc rodzinne będące gwiazdą przewodnią każdego z moich rodaków od kolebki aż do grobu, zawrzały jakąś nową siłą pod biegłą jej dłonią.

Potrafiłaś pani ująć główną myśl pieśni obcego jej narodu; z prawdziwem więc rozrzewnieniem składam pani za to najserdeczniejsze podziękowanie.

Jestem bardzo nieszczęśliwy cierpiąc nadzwyczajnie. Od wielu tygodni była to pierwsza ulga doznana, pierwsza kropla rosy spadająca na spalone moje serce. Siedziałem na ławce w drugiej stronie ogrodu, jak zazwyczaj zamyślony i smutny, gdy nadspodziewane posłyszałem dźwięki wydane dłonią pani. Były one balsamem dla cierpiącego serca; bezwiednie przeto szedłem ku oknom oświetlonym, będących źródłem tak niespodzianej pociechy. Uwielbienie zatem i wdzięczność były powodem zbytniej śmiałości objawionej w mojem postępowaniu.

— Gdzie nie było obrazy, rzekła Eugenia głosem wzruszonym, tam przebaczenie byłoby zupełnie zbytecznem. Nie mam najmniejszego prawa pod żadnym względem do użalania się, bo sama nie raz, ale wielekroć razy podsłuchałam grę pana. Nieudatna moja muzyka złagodziła cierpienia pana, ale i w takim razie jestem jego dłużniczką, bo ileż to razy boleść moja była rozproszoną anielskiemi tonami skrzypców, trafiającemi aż do głębi mego serca. Wykonanie posłyszanych przeze mnie utworów było tylko oddalonem echem gry pana, dającej mi od wielu lat jedyne chwile ulgi i zapomnienia.

— Oh jakże jestem szczęśliwy! zawołał młodzieniec z zapałem, że chociaż bezwiednie ulżyłem cierpieniom pani. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w jej serce przelać niezatarte źródło pociechy. Oh! teraz grać będę z innem uczuciem, wiedząc, że tuż obok mnie jest serce bolejące i dusza zgnękana, zdolna odczuć wszystkie nieszczęścia, będące udziałem mego losu.

Eugenia, mając wiele rozsądku wrodzonego, nie chciała przedłużać rozmowy z mężczyzną nieznajomym o tak późnej godzinie, na ostatnią więc przemowę Góreckiego odpowiedziała milczeniem. Młodzieniec odgadł widocznie przyczynę tego, bo wypowiedziawszy kilka słów pożegnania, złożył głęboki ukłon, i wkrótce znikł w cieniu drzew owocowych.

Panienka wśród roju myśli i uczuć, wypełniających jej główkę i serduszko, upadła na krzesło zakrywając rękami piękne swoje oblicze, po których spływały łzy rozczulenia i szczęścia.

Owo spotkanie z pięknym młodzieńcem, owe słowa uwielbienia, wypowiedziane na jej cześć, przy względzie na smutne okoliczności jej żywota, czyniły wrażenie sennego marzenia. Z pewną trwogą zapytywała sama siebie, czy zaszły wypadek nie był wypływem urojonych widziadeł pod wpływem rozgorączkowanej wyobraźni. Jakby jednak dla stwierdzenia rzeczywistości całego zajścia Eugenia posłyszała niespodzianie dźwięk skrzypców, widocznie na jej cześć, bo Górecki nie grywał nigdy o tak spóźnionej godzinie. Dotrzymał danego słowa, a wykonanie było piękniejsze niż kiedykolwiek. Panienka słuchała w milczeniu, tłumiąc oddech z obawy, aby najmniejszy odcień melodyi nie był dla niej straconym. Przedmiotem wykonania była owa słynna pieśń, ukochana przez naród francuzki, a opiewająca pożegnanie Alzacyi, oderwanej gwałtem od macierzystego łona. Eugenia zrozumiała delikatność podobnego wyboru; pieśń właściwa jej narodowości, była zapłatą pieśni polskich, z takim zapałem przez nią wykonanych

Rozmarzona panienka byłaby chętnie słuchała aż do rana czarodziejskiej muzyki, ale skrzypce z wielkim jej żalem nagle umilkły. Siła jednak smyczka była jednostajną aż do końca, prawdopodobnie więc nie znużenie, ani chęć snu nakłoniły artystę do przerwania gry, ale obawa, aby nie zakłócał jej wypoczynku.

Wkrótce potem Eugenia zasypiała w marzeniach nieokreślonego szczęścia, jakby wszelkie groźby losu raz na zawsze były zniszczone.

(d. c. n.)

Ze scen karnawałowych.

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Roztworowską.

Po wyiskrzonem niebie płynął cicho, spokojnie srebrny krąg Dyanny. Nieco ironicznie wykrzywioną twarzą zwrócony ku ziemi, zdawał się patrzéć na świat, na ludzi szalejących w karnawałowym wirze, i naśmiewać się z tych pyłków, których językiem świata: ludźmi nazwano.

Nie domyślał się nawet, iż sam był niejako wspólnikiem tych, na których pogardliwie spoglądał.

Jego błękitne światło rozpraszając nocne ciemności, zachęcało do puszczenia się w hulaszczym kuligu, gdzieś daleko, przy odgłosie dzwonków i przeraźliwem skrzypieniu sani.

Lecz nam na nic się nie przyda światło niebieskiej lampy; co nam po niej wśród murów miasta? gdzie, choć nie niezbyt jasno, lecz oświetlono ulic szeregi, lśniącemi jak święto-jańskie robaki lampami. Oświetlone też okna pierwszych piętr, rzucają odblask na pobrudzony i starty śnieg. Odgłos dzwonków mieszając się bez harmonii, z różnorodnych tonów, tworzy jeden fałszywy akord.

W eleganckim buduarze pierwszego piętra w wielkiem zwierciadle odbija się postać dziewicza powiewna, wiotka, biała, jak zjawisko nieziemskie.

Dla takich postaci innego wymagamy otoczenia, gdy w wieczornej chwili marzeń, nasuwa się nam myśl o nich. Dla tej tchnącej nadziemskim wdziękiem istoty, godniejszemi ramy byłyby szczyty Alpejskie, pokryte białą powłoką, i fontanny kryształowe.

Ideał wszędzie się mieści, gdy go odczuć i zrozumiéć chcemy, gdy w sercu naszem jeszcze tleje ta skra świętego, niebiańskiego Znicza którą niestety, życie świat, ludzie, a niekiedy my sami świętokradzką gasimy dłonią.

Płomień ten święty tleje jeszcze w sercu jasnowłosego młodziana, który choć o kilka ulic oddalony od oświetlonego buduaru i stojącego przed zwierciadłem dziewczęcia, myślał o niej, o przyszłości cichej, przetkanej pracą wytrwałą i miłością.

W niezbyt wykwintnym hotelowym pokoju, przybyły z odległych stron na karnawał do stolicy, siedział w stroju balowym, oczekując chwili, w której formy światowe pozwalają niewolnikom swoim zjawić się wśród ścian godowych. Czas upływał wolno, wskazówki zegarka leżącego na stoliku leniwo się posuwały, on radby ich poruszenia przyspieszył, każda bowiem chwila zbliżała go do powitania przedmiotu miłości.

— To dziwne, myślał, że wśród tych przeróżnych postaci, okrytych brylantami i złotem, ja ją jedną tylko widzę, ona jedna w swej skromnej białej szacie pozostaje w pamięci mej, gdy opuszczam owe zbiegowiska próżności, gdzie kobiety za zdawkową monetę uśmiechu, spojrzeń i czułych wyrazów, kupują owe zwodnicze, często obłudne hołdy, które je upoją na chwilę, a potem, zostawiają zniechęcenie przesyt i próżnię. Takiemi je czyni świat; czyżby on na wszystkie tak działał? Nie! Złoto, złotem pozostać musi, płomienie oczyścić je tylko mogą.

Zastukano do drzwi. Młodzieniec powstał jakby ze snu zbudzony. Przez uchylone drzwi służący podał marzycielowi kwadratową kopertę. Spojrzawszy na adres, rozdarł ją gorączkowo.

„Czekamy na pana do 9-tej, może zechcesz razem z nami udać się do państwa ***."

Promień radości rozświetlił czoło młodzieńca.

— Zacna kobieta, szepnął, ukochana matka Julii.

Dziewczę ciągle jeszcze stało przed zwierciadłem. Staranna ręka matki przyśpiala ostatni kwiatek do stanika jej sukni.

— Tak się trudzisz dla mnie mateczko, rzekła Julia, rzucając zaciekawione spojrzenie w zwierciadło. Wyrzekłaś się samej siebie dla twej córki, pozwól bym ci się ubrać pomogła.

To mówiąc ucałowała rękę matki.

— Dziękuję ci moje dziecię, dla mnie już pomoc w takich razach stała się zbyteczną, pośpieszać jednak muszę, gdyż o 9 tej pan Michał przybędzie i będzie nam na bal towarzyszyć.

Dziewica zarumieniła się, spojrzenia obu kobiet spotkały się; w oku matki zabłysła łza rozczulenia, po ustach dziewczęcia przesunął się uśmiech radosny.

Lekkie stąpanie ozwało się w przyległym pokoju, w progu stał nam znany już młodzian. trzymając w ręku bukiet z białych kwiatów. Dziewczę wyciągnęło doń obie dłonie.

Na ulicach panował gwar i tłok. Sanki się mijały, woźnice bili w zmarznięte ręce, dzwonki dzwoniły hałaśliwie.

Z karety zatrzymującej się w bramie oświetlonego domu, wysiadły dwie kobiety i mężczyzna. Młodsza z nich pierwsza stąpiła na chodnik, starszej zwolna towarzysz wysiąść pomagał.

— Obdarzcie biednych choć grosikiem panienko, jeszcze dziś nic ciepłego w ustach nie mieliśmy, ozwał się głos trzęsący.

Dziewczę podniosło oczy. Tuż przy niej stała kobieta o wynędzniałej twarzy, z wyciągniętą bła-

galnie ręką, drugą pociągnęła za sobą dygoczące dziecię w łachmanach.

Julia machinalnie powiodła ręką po sukni, jak gdyby szukając kieszeni, lecz w balowym stroju nie było takowej. Pomyślała chwilę. Światło zapalonej latarni padało na jej anielską postać; po twarzy przesunął się wyraz głębokiego smutku. Nagle rozjaśniło się jej oblicze. Podając żebraczce swój bukiet rzekła wskazując towarzysza:

— Sprzedajcie go kobieto temu panu, i nie oglądając się więcej, postąpiła kilka kroków naprzód. Muzyka głośnemi tony napełniała sale, wonie egzotycznych kwiatów i sztucznych pachnideł napełniały powietrze, strojne postacie sunęły dokoła, śmiano się i weselono.

W rogu sali powiewna postać z lekkim rumieńcem wywołanym zmęczeniem pierwszego tańca, zda się spojrzeniem szukać kogoś.

Jednocześnie przez strojny tłum przeciskał się jasno-włosy młodzieniec z bukietem białych kwiatów w dłoni. Doszedłszy do kanapki na której siedziała Julia, pochylając się nad nią, rzekł lekko drżącym od wzruszenia głosem:

— Oddaję ci pani twą własność, ozdobioną brylantową łzą wdzięczności nieszczęśliwej żebraczki.

Dłonie ich złączyły się uściskiem, oczy utonęły w spojrzeniu... na listku białej kamelii, drżała kropelka błyszcząca.

Kronika Paryzka.

Poezya Skandynawska.

W poprzednim rozdziale błąkaliśmy się po górach Kaledonii; w pośród których, kiedyś rozlegały się pienia bardów.

W dalszym ciągu naszej pracy, odbędziemy podróż w dwóch różnych kierunkach. Przebywając z jednej strony morze północne, z drugiej część oceanu atlantyckiego znajdziemy się w okolicach, w których wytworzone zostały państwa nazywane Danią, Szwecyą i Norwegią, wraz z należącą do niej wyspą Islandyą. Ludność zamieszkuje tę część kuli ziemskiej powstałą, z plemion wyszłych z bagnistej Scytyi, które obiegały całą Europę od morza Północnego aż do kończyn Hiszpanii, a zetknąwszy się z osadami egipskiemi i fenickiemi na brzegach Galii i Włoch, spostrzegły pierwsze objawy cywilizacyi, ujęte w naukach i sztukach, i pierwsze wzory zamiennego handlu.

Wązkie koryto cywilizacyjne płynące z Egiptu do Grecyi, ztamtąd do Włoch i Europy zachodniej, było jeszcze nieznanem ludom mieszkającym na północy. Nie biorący najmniejszego udziału w ruchu umysłowym panującym na południu: rozwijały się samodzielnie pod wpływem idei wolności. Montesquieu wypowiedział zdanie powtarzane wielokrotnie: „na północy przyspasabiane są narzędzia do zdruzgotania kajdan ukutych na południu.“ Ludy skandynawskie zamieszkujące ziemię nieurodzajną, klimat nieprzyjazny wśród mgły i śniegów, potrafiły wytworzyć poezyą wprawdzie w barwach posępnych z piętnami niezaprzeczonej dzikości, którym jednak nie zbywa na właściwym wdzięku koniecznym warunku każdego piękna.

Nie wspominając o pierwotnej religii słowiańskiej, o której mówić będziemy w innem miejscu, trzy jeszcze insze religie wyznawane były przez ludy europejskie, zanim te połączone zostały pod wspólnem znamieniem krzyża. Mitologia grecka i rzymska opowiedziana przez Homera i Wirgilijusza, ujęła w formę cudowności pierwotne dzieje narodowe, upiękniając takowe przez utwory bujnej wyobraźni poetów, które łatwowierność ludzka przez długi czas uznawała za prawdy niewzruszone. Druga religia druidycka, panowała w Galii, w Wielkiej Brytanii z Irlandyą. Trzecia nareszcie odynicka, która przeżyła mitologią pogańską, wyznawaną była w północnej Germanii, Skandynawii, i niektórych okolicach obszernych przestrzeni, oznaczonych przez pisarzy greckich mianem Scytyi.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, religia odynicka przybyła ze wschodu wraz z pierwotnymi kolonistami osiadającymi na północy Europy, gdzie doznała pewnego przeobrażenia, pod wpływem zmiany miejsca i klimatu. Byłaby z pewnością zapomnianą, i nie przeszłaby do wiadomości współczesnych pokoleń, gdyby nie była ujętą w części w pieśniach dawnych poetów skandynawskich, a głównie w książce zwanej Edda, będącej ciekawym nader zabytkiem religii Odina.

Wyraz *Edda* znaczy w języku skandynawskim *prababkę* *pradziadowie*. Pod tym tytułem poeta islandzki Soemund-Sigfuson, w wieku jedenastym napisał wierszem historyą wszystkich wyznań właściwych ludom północnym. Pracy swej dokonał, w lat pięćdziesiąt po zaprowadzeniu religii chrześciańskiej. nie zbywało mu przeto na odpowiednich materyałach.

Forma poetyczna nie dopuszczała tyle koniecznej dokładności; ułożone dzieło wymagało wielu dopełnień, które uskutecznił inny Islandczyk Snorro-Sturleson, we dwieście lat później dając prozą dokładną historyą, wszelkich podań skandynawskich.

Zanim odróżnimy część bajeczną od rzeczywistej, wypada przedewszystkiem dać zarys wypadków, będących niejako podstawą tradycyi i pierwotnych wyobrażeń religijnych.

Z dziejów starożytnego Rzymu, znaną jest słynna wyprawa ludów północnych, pod zbiorowem mianem Cymbrów, nachodzących posiadłości dawnego pana świata. Zwycięztwo odniesione przez Maryusza nad gromadami najezdników, stało się głównym powodem jego sławy i znaczenia. Skandynawia dostarczyła właśnie owych dzikich wojowników, ale nawzajem choć pośrednio odczuła następstwa zwycięztw rzymskich.

Około roku 70 przed erą chrześciańską, Rzymianie pobiwszy na głowę Mithridata króla Pontu, przerazili nadzwyczajnie wszystkich jego sprzymierzeńców. Jeden z nich nazwiskiem 'Sigga, szukał schronienia w okolicach północnych nie znajdując bezpieczeństwa we własnej ojczyźnie. Chcąc zjednać sobie życzliwość mieszkańców, przybrał nazwę Odina, ponieważ mianem tem oznaczono najwyższe ich bóstwo. Dawny Sigga późniejszy Odin, na czele młodzieży krajowej, udał się w kierunku północno zachodnim, nadając podbitym ludom synów swych za monarchów. Zająwszy z kolei Saksonią, rozdzielił ją pomiędzy swych potomków, od których wiele rodzin niemieckich usiłuje wyprowadzić swój początek. Następnie przez Holsztein, wszedł do Fionii. gdzie założył miasto Odensee, do dziś dnia utrzymujące nazwisko swego założyciela, Podbił Danią nadając ją synowi swemu imieniem Sciold, zawładnął Szwecyą przeznaczając ją synowi Yngue, a Norwegia dostała się w udziale dla Samungue. Z żoną swą imieniem Frigga, miał trzydziestu synów, i prawdopodobnie każdemu z nich byłby zostawił inne królestwo, gdyby śmierć nie była przerwała szeregu jego zwycięztw.

Skoro uczuł zbliżającą się ostatnią chwilę swego życia, zgromadził przyjaciół i towarzyszów swych wypraw, na około łoża przyozdobi nego w łupy zebrane na ludach podbitych. W obecności posiwiałych w bojach wojowników, zrobił ostrzem szpady dziesięć okrągłych ran na swojem ciele, a prócz tego różne tajemnicze kształty. W czasie bolesnej operacyi, twarz jego zachowywała zwykły spokój, a we właściwej mu wzniosłej wymowie, nie można było dostrzedz najmniejszej zmiany. W chwili śmierci oznajmił swym towarzyszom, że udaje się do Scytyi, gdzie zaproszonym został przez bogów krajowych na wieczną ucztę.

Życie i śmierć tego rodzaju, zrobiły ogromne wrażenie na wyobraźni na wpół dzikich ludów, które jednozgodnie ubóstwiły wielkiego Odina.

„Na początku wieków nie było ani morza ani brzegów, ani wichrów. Nie widziano wcale ziemi w dole a nieba w górze. Nicość była przepaścią bez roślin i nasienia; nie było ani słońca, ani gwiazd, ani księżyca. W tej właśnie chwili pojawiły się na południu okolice świecące, rozpalone i palące się wysełające do przepaści północnych ustawiczne strumienie ognia, które oddalając się od swego źródła zamieniały się w pianę i lód. Tym sposobem przepaści zostały wypełnione, obejmując jednak pewną ilość powietrza lekkiego i nieruchomego, z którego wydobywała się para lodowa. Powiew ciepły z południa stopił tę parę, zamieniając je na żywe krople z których powstał olbrzym Ymer i krowa Oedumla.

Cztery rzeki mleka płyną z wymienia Oedumli, dając pożywienie dla olbrzyma. Krowa zaś znajduje pożywienie liżąc kamienie pokryte solą i lodem białym. Pierwszego dnia przy wzmiankowanem lizaniu, pokazały się włosy ludzkie, drugiego dnia głowa, trzeciego cały człowiek, który właśnie był ojcem bożka Bore. Olbrzym Ymar ze swej strony dał początek rasie olbrzymów. Bore poślubił jedną z córek jego, z której miał trzech synów imieniem Odin, Vile i Ve. Synowie ci pozbawili życia Ymera: z krwi jego powstało morze i rzeki, z jego kości góry, z jego ciała ziemia, z jego zębów skały, a z jego czaszki sklepienie niebieskie. Potomkowie Bore zostawszy bogami poślubili córki olbrzymów. Olbrzym Nor miał córkę imieniem Noc, poślubiła ona Denglingiera, z tego związku w rodzinie bogów urodził się Dzień. Odin tak dzień jak i noc umieścił na sklepieniu niebios, dając im konie i powozy aby z kolei obiegali świat. Noc pojawiła się pierwsza na rumaku zwanym Rimfaxe (grzywa zmarznięta). Każdego poranku Rimfaxe kończąc swój bieg skrapia ziemię pianą płynącą z jego munsztuka. Koń dzienny nazywa się Skinfaxe (grzywa jasna) otaczający go ogień oświetla ziemię i niebo.

Książka *Edda* wymienia innych jeszcze bogów: Thor, Loke, Balder, Tyr, Hermode. Thor syn Odina był najsilniejszym pomiędzy ludźmi i bogami. Posiada pałac składający się z pięćset czterdziestu komnat, w krainie olbrzymów przejeżdża się na wozie ciągnionym przez dwóch kozłów.

Z tego względu miał miejsce następujący wypadek.

Noc przybliżała się, Thor i jego towarzysze szukali schronienia dla wypoczynku; znalazłszy dom który uważali za mieszkanie olbrzyma, w jednej z jego sal zasnęli. Nazajutrz Thor zobaczył przed domem człowieka ogromnej wysokości, mówiącego w te słowa:

— Nazywam się olbrzym Skrymner, wiem że jesteś bogiem Thor, i nie potrzebuję ci się pytać, czyś wziął moją rękawiczkę?

Jednocześnie olbrzym wyciąga rękę aby odebrać takową. Thor wtenczas dopiero spostrzega, że mniemany dom był rękawiczką olbrzyma, i że wraz

ze swemi towarzyszami, spoczywał w jednym z palców tej rękawiczki.

Następnej nocy Skrymner zasnął głęboko; Thor wziąwszy maczugę rzucił ją z taką siłą na policzek śpiącego, że ta wbiła się w ciało aż po rękojeść. Przebudzony olbrzym podnosi rękę do twarzy mówiąc:

— Prawdopodobnie ptaki gnieżdżą się na tem drzewie, bo zdaje mi się że pióro dotknęło mego policzka.

Balder drugi syn Odina, jest bogiem dobroczynności. Jego nieprzyjacielem jest bóg Loke, którego nazywają potwarcą bogów i twórcą szachrajstwa. Jest on piękny, dobrze zbudowany ale chytry i podstępny. Ożeniony z olbrzymką Augerbode (posłanka nieszczęścia) miał z nią troje dzieci, z których jeden jest wilk Feuris drugi Wielki Wąż, trzeci Hela (śmierć). Loke zrobił zasadzkę na Baldera i ten poległ, prześladowany za ten czyn przez innych bogów skrył się w głębinach wód zamieniwszy się w łososia. Bogowie zrobili olbrzymią sieć i złapali Loka, a przywiązawszy go do skały zawiesili nad jego głową węża, z którego jad spływający na jego twarz, sprawia mu nadzwyczajne męki i cierpienia. Jego wycie i szarpanie się jest powodem trzęsienia ziemi. Loke przykutym będzie do skały, aż do końca świata.

Bóg Tyr jest najodważniejszym ze wszystkich bogów; rozdaje zwycięztwa, przywoływanym więc jest w czasie boju. Hermode drugi syn Odina jest bogiem szybkości. Nawiedza otchłanie piekielne wzywając Hele (śmierć) aby wróciła do życia jego brata Baldera. Hela zezwala na to, ale pod warunkiem, aby wszystkie stworzenia żyjące i nieżyjące opłakiwały zmarłego; z tego względu miał miejsce pewnego rodzaju potop: stara jednak czarnoksiężnica imieniem Tohk nie chciała płakać, Hela więc nie puszcza swej zdobyczy i Balder zostaje w piekle.

Dotychczas nie było mowy o stworzeniu rodu ludzkiego. Edda podaje w tej mierze następujące wiadomości.

Bogowie przechadzając się raz nad brzegami morskiemi spotkali dwa pływające kawałki drzewa. Wziąwszy je nadali im kształt mężczyzny i kobiety i tym sposobem powstał rodzaj ludzki. Ludzie obdarzeni są duszą nieśmiertelną, po ukończeniu pielgrzymki doczesnej dobrzy wchodzą do pałacu Odina nazywanego Walhalla. Szczęśliwi tam są pod każdym względem: codziennie przywdziewają zbroję, ulegają przeglądowi wojskowemu; później następuje bitwa, w której wszyscy giną; w czasie jednak przeznaczonym na posiłek, wszyscy cali i zdrowi zasiadają do wspólnej uczty. Jakkolwiek są liczni, mięso z jednego dzika wystarcza na ich wyżywienie; równie jak oni dzik jest nieśmiertelny, zjedzone części odrastają na nowo. Za napój służy im piwo i miód, jedyna koza zamiast mleka dostarcza im miodu w dostatecznej ilości do upojenia wszystkich; piją z czaszek zabitych nieprzyjaciół. Odin siedzi przy osobnym stole pijąc wino jako jedyny posiłek. Dziewice nazywane Walkyries posługują do stołu nalewając napoje w miarę ich ubytku.

Wedle zatem wyobrażenia poetów skandynawskich, największe szczęście człowieka zasadza się na prowadzeniu wojny, piciu i jedzeniu.

Skoro zapowiedziany pożar zniweczy świat, wybrani wejdą do pałacu wspanialszego od słońca, pokrytego złotem i brylantami, gdzie doznawać będą wiecznego szczęścia.

Taka jest przyszłość cnotliwych i zacnych; źli zaś i nikczemni ulegną odmiennemu zupełnie losowi. Przedewszystkiem wchodzą na czas jakiś do piekła będącego posiadłością śmierci. Pałacem śmierci jest *udręczenie*, za pokarm służy jej *Głód*, służbę jej stanowi *Oczekiwanie* i *Powolność*, łożem jej jest *Ctenkość* a *Przepaść* progiem jej pomieszkania.

Z opisanego pałacu przechodzi się do innego miejsca pobytu, którego bramy są zwrócone ku północy. Pełno tam trupów, węży, i różnego rodzaju trucizny, sączą się milionem otworów. Na wytworzonych tym sposobem potokach, przepływają krzywoprzysięzcy, zabójcy i uwodziciele. Czarny smok unoszący się w powietrzu, pożera ustawicznie ciało potępieńców.

Wielki zaś dzień ciemnoty bogowi ogólnego pożaru zapowiedzianym będzie przez znaki wskazane w utworze poety islandzkiego, pod tytułem Voluspa które to dzieło wedle tradycyi miało być podyktowane przez wróżkę północy.

Przedewszystkiem panować będzie nadzwyczajnie ciężka zima, i śniegi padać będą ze czterech stron świata. *Niezgoda* zawładnie światem: bracia zabijać się będą między sobą, rodzice zabijać będą dzieci a dzieci rodziców. Olbrzym Rymer na odpowiednim wozie przybywa ze wschodu. Morze wystąpi ze swego łożyska a *Wielki Wąż*, z powodu wicia się i przewracania, zwiększać będzie bałwany z każdą chwilą. Orzeł pożera ciało zmarłych. Armia złych duchów przybywa ze wschodu na okręcie będącym własnością bogów. Prowadzi ją Loke pod nadzorem wilka Feuris.

Surtur czarny książe bożek ognia wychodzi z południa otoczony płomieniami: miecze bogów błyszczą jak słońce. Skały wzruszone zapadają się z łoskotem, olbrzymi i olbrzymki błąkają się zapłakani, ludzie tłumami postępują ścieżką śmierci. Niebo zapada się. Odin przychodzi stoczyć walkę z wilkami Feuris; małżonek Friggi jest zwyciężony. Waleczny syn Odina biegnie pomścić śmierci swego ojca: stacza walkę z potworem i mieczem swym przeszywa mu serce.

W tym stanie rzeczy, literatura ludów europejskich, przed przyjęciem religii chrześciańskiej, wytworzoną była przez bujną wyobraźnię poetów rodzinnych, czerpiących natchnienie z dziwacznych wyobrażeń religijnych przyniesionych ze wschodu, w epoce pierwotnej wędrówki ludów azyatyckich.

Poezya u wszystkich ludów i we wszystkich wiekach była ważnym czynnikiem cywilizacyjnym: prawodawcy za jej pośrednictwem usiłowali wytępić wady a zaszczepić miłość mądrości, sławy i cnoty.

Za przykład posłużyć może księga moralności zwana Havamaal czyli *Mowy wspaniałe*, wedle podania napisana przez samego Odina.

Ten prawdziwy Salomon północy, daje wskazówki postępowania zdumiewające, jakby zaczerpnięte z ogniska wieczystej mądrości.

Skald skandynawski nie opuszczał nigdy ani swej liry ani miecza!

W czasie boju można go było rozpoznać za pośrednictwem róży wymalowanej na jego tarczy, przypominał on Tyrteusza greckiego; wzbudzającego pieśnią i czynem odwagę w sercach towarzyszów.

Początek poezyi jakoteż źródło natchnienia, wskazane są w sposób odpowiedni do wielkiego znaczenia nadanego tej sztuce.

Jeden z mieszkańców Skandynawii nazwiskiem Kwaser, pomieszczonym był w liczbie bogów z powodu swej cnoty i rozumu. Dwóch karłów zazdroszcząc posiadanych przez niego talentów zabili go, a wytoczoną krew pomieszawszy z miodem, zamknęli w szczero złotem naczyniu. Ktokolwiek zaczerpnął tego napoju zostawał poetą. Olbrzym Suttung pochwycił naczynie i oddał go córce swej Gunloeda, ta przechowała go w wyn osłej górze. Odin chociaż bóg nie był poetą ale chciał nim zostać. Przebrany za pasterza przybył do olbrzyma Suttunga, i pilnując jego trzód szukał sposobu skosztowania napoju dającego natchnienie. Po wielu daremnych usiłowaniach zamienia się w węża, a przecisnąwszy się do wnętrza góry pochwałami i spojrzeniem olśniewa Gunloedę, która pozwala mu napić się po trzykroć razy, z czaszy przez nią strzeżonej. W jednej chwili naczynie jest wypróżnione; wąż zamienia się w orła wzlatując ku niebiosom, biedna Gunloeda zalewa się łzami boleści i upokorzenia.

Od tej chwili Odin został bogiem poezyi, dozwalając niektórym skaldom dotknąć od czasu do czasu brzegów cudownego naczynia.

Aż do czasów Harolda z pięknemi włosami panującego w Norwegii w wieku dziewiątym, niewiele wiemy o pierwotnych skaldach skandynawskich. Harold powołał ich na swój dwór, obdarzając łaskami i przyjaźnią. Towarzyszyli mu w bojach i otaczali w czasie uczt śpiewając na jego cześć. Niektórzy nawet z następców Harolda uprawiali poezyę z rozmaitem szczęściem. Zamiłowanie ludów skandynawskich do narodowych skaldów i opowiadanej przez nich tradycyi, utrudniło wielce pracę misionarzy chrześciańskich.

Olaf z nadanym przydomkiem świętego, chocia ż był gorliwym zwolennikiem nauki Chrystusa, przywoływał skaldów na swoj dwór, rozdzielając między nich hojne podarunki bez względu na oddawaną przez nich cześć Odinowi.

(d. n.)

Głód na Szląsku.

P. Feliks Fryze, redaktor „Kuryera Porannego,“ był temi dniami na Szląsku Górnym dla naocznego przekonania się o opłakanych stosunkach tamecznych. Ze sprawozdania p. Fryzego okazuje się, że głód szerzy się głównie w powiatach Pszczyńskim, Rybnickim, Raciborskim, Lublinieckim i w części Kozielskiego, w mniejszym zaś nieco stopniu w Bytomskim, Gliwickim, Wielko-Strzeleckim, Oleśnickim i Kluczborskim. Razem powiaty te liczą 700,000 mieszkańców, ludności prawie wyłącznie polskiej i katolickiej. Głód trapi wyłącznie rolników; ludzie bowiem pracujący w zakładach przemysłowych i górniczych roboty mają dosyć, i cierpią tylko o tyle, o ile podrożały wszystkie przedmioty żywności. Rząd pruski wyznaczył jako pomoc 6 milionów marek; z tych 1,500,000 na wsparcia, 500,000 na budowę dróg bitych i 4,000,000 na zasiew i paszę. Zaliczki jednak dawane w tym ostatnim celu uważane być mają za pożyczkę zwrotną. W ogóle pomoc jest niedostateczna. Zapomogi na zasiew i paszę mają być dawane dopiero na wiosnę. Doraźna pomoc rządowa ograniczyła się na rozdaniu po 50 do 300 marek na wioskę. Drogę bitą budują dotychczas tylko w powiecie Pszczyńskim, gdzie 600 ludzi pracując często o 2 mile od domostw wśród śniegów i mrozów, zarabia po złotówce dziennie na głowę. Niemcy złożyli hojnie znaczne summy; pomoc ich jednak spada prawie wyłącznie na miasta. Rząd także zapobiegł skutecznej biedzie w miastach, gdzie porządzano kuchnie bezpłatne. Ludnością rolniczą opiekują się komitety pod przewodnictwem proboszczów; rozdziałem zaś darów między komitety wiejskie, zajmuje się komitet w Mikołajewie (Nicolai); na którego czele stoi Miarka. O samej osobistości p. Miarki powiedzieć można, iż w całym Górnym Szląsku nie ma nikogo zajmującego równie wybitne i wpływowe stanowisko. Miar-

ka wydaje trzy pisma: „Katolik“ (tygodnik), „Poradnik gospodarski“ (dwutygodnik) i „Monika“ (tygodnik dla kobiet). Pierwszy z nich ma 6,000 abonamentów, drugi 8,000, ostatni przeszło 2,000. Lud radzi się Miarki we wszystkiem i ślepo mu ufa. Dotychczas niestrudzony ten pracownik założył 18 kuchni po wsiach, jedną w mieście Wodzisławiu, jedną w Bieraniu i jedną w Mikołowie. W mikołowskiej kuchni pracuje żona Miarki z córkami. Przez czas, w którym sprawozdawcą był obecny, obdzielono 150 osób, przyczem porządek i ład panował jak najlepszy. Z tem wszystkiem i mimo tego co robi rząd i komitety, klęska nie dała się przezwyciężyć i wiele rodzin znosi straszliwą nędzę. W sprawozdaniu swem pan Fryze dochodzi do przekonania, że jeśli pomoc ma być skuteczną, musi trwać aż do wiosny. P. Miarka prosi, by mu nie przesyłano wcale pieniędzy, ale tylko produkta. Pożądane są mianowicie: żyto, groch, kapusta w główkach i kwaszona, krupy, kasze, sadło, słonina, mąka, ale tylko żytnia. Bulionu na teraz jest dosyć. Za mięso płaci p. Miarka 1 markę za kilogram, to jest licząc kurs pieniężny płaci po 23 do 24 kopiejek za nasz funt. W obec więc bezpłatnego przewozu koleją, możnaby przesyłać i mięso. Przewóz w obecnej porze zimowej nie napotkałby żadnej przeszkody, chociaż kuchnie w Mikołowie potrzebują dziennie tylko 30 funtów. W obec nadsyłania różnorodnych darów, p. Miarka objaśnił, że dla jednostajnego obsłużenia wszystkich kuchni dla głodnych, na każde 10 centnarów przesyłki potrzeba produkta ustosunkować w następujący sposób: 4 centnary grochu, 2 centnary kaszy, 2 centnary różnych krup, 2 centnary żyta, wreszcie sadła lub słoniny w stosunku 3 funtów na centnar. Co w ogólnej ilości produktów, obecnie niezbędne są 3 lub 4 całe wagony co każde 3 tygodnie. Wagon zabiera 260 lub 300 centnarów ładunku. Adres p. Miarki jest następujący: „Herr Carl Miarka Vorsitzender des Nothstandes Comites für Ober-Schlesien, Nicolai.“ Osoby wysyłające dary ze stacyi kolei mających t, z. komunikacyą bezpośrednią, mogą adresować wprost do Miarki: ze stacyi niemających bezpośredniej kommunikacyi, należy adresować do p. Herzberga w Sosnowcu, dodając, że przesyłka przeznaczona jest dla Miarki. Zakup i wysyłkę kasz, kapusty, krup i okrasy najlepiej jest powierzyć zarządowi Towarzystwa spożywczego „Merkury“ w Warszawie, gdzie wszelkie te produkta najtaniej można nabywać. Zakupem i wysyłką żyta zajmują się domy handlowe S. Ostrowskiego i B. Werner'a. Ponieważ kolej Nadwiślańska darmo przewozi ofiary dla Szlązaków, należałoby zatem żyto zakupywać w Kowlu; bo tam jest znacznie tańsze niż w Warszawie. Dla uchronienia Szlązaków od klęski głodu, trzeba będzie jeszcze posłać im owies, jęczmień i ziemniaki do zasiewu, ale to dopiero w drugiej połowie marca i pierwszej kwietnia.

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum. Kwartały drugi i trzeci 1879.

W zeszycie kwietniowym Biblioteki znajdujemy dokończenie „Pamiętników Kantora,“ o których początku mówiliśmy dawniej. Mamy tu bardzo zajmujące szczegóły o biskupie krakowskim Sołtyku o jego uwolnieniu z wygnania przez roztropnego i poświęconego sługę, który powędrował daleko, przebrany za kramarza, ażeby pana wyzwolić, wreszcie o ostatnich latach biskupa, spędzonych w melancholii, a jak utrzymywali nieżyczliwi, w obłąkaniu. W uznaniu biskupa za obłąkanego pewną rolę odgrywała bez wątpienia intryga prywatna, skoro jednym z głównych dowodów pomieszania zmysłów, wystawianych przez przeciwników, było to, że biskup sam osobiście odwiedzał chorych biedaków i na śmierć ich dysponował. Usunięty od zarządu dyecezyą biskup często powtarzał ułożony przez siebie wierszyk:

> Bardzo mi to wlazło w łeb —
> Wszyscy mówią, że ja kiep;
> I tak z łaski mej matusi,
> Człek do śmierci kpem być musi.

W zeszycie majowym p. Święcicki, który niedawno wodził nas po dalekim wchodzie, opowiadając o poetach arabskich aż z epoki przed Mahometem — co, jak wyrzekliśmy w swoim czasie, uważamy za rzecz dla nas zbytkowną—obecnie prowadzi nas na krańcowy zachód w swoim „Przeglądzie literatury hiszpańskiej.“ Jest to prawdopodobnie wyciąg z jakiejś historyi literatury, rzecz w ogólności napisana dobrze, upstrzona wyjątkami, przetłomaczonemi nieosobliwie, albo też przytoczeniami po hiszpańsku bez tłomaczenia polskiego (np. str. 219) jak gdyby czytelnicy Biblioteki wszyscy obowiązani byli umieć po hiszpańsku. W każdym razie wolelibyśmy jakieś studyum z literatury polskiej.

Pod nagłówkiem „Cnota i Występek“ p. Dzieduszycki drukuje szereg obrazków, które nazwalibyśmy kulturowemi (kulturbilder): rzeczy nowych tu nie ma, ale w ogóle opowiadanie dość zajmujące, z wyjątkiem rzeczy biblijnych, aż nadto znanych a nawet i innej formy niż biblijna nie potrzebujących. Oprócz tego w opowiadaniu o niektórych mytach Wschodu autor trzyma się jakiejś maniery dowcipkującej, niby humorystycznej, która niezawsze z przedmiotem licuje.

W kronice paryzkiej zeszytu majowego zasługuje na uwagę wiadomość o erudycyjnym przekładzie Boskiej komedyi Dantego na język staro-francuzki, dokonanym przez znanego pozytywistę Littr'ego, który na starość oddał się całkiem studyom filologicznym. Jest tu także streszczenie dobrej komedyi Yamata, przez japończyka po francuzku napisanej i z powodzeniem przedstawionej w Paryżu.

W tymże zeszycie recenzent Dziejów Polski Bobrzyńskiego, wydobył z zapomnienia książeczkę przed stu przeszło laty (w r. 1760) po łacinie napisaną przez francuza Pyrrhys, w Polsce bawiącego. Pokazuje się że już ów francuz, dobrze z rzeczami polskiemi obeznany, rozważał historyą polską z punktu widzenia prawno-państwowego, jak dziś p. Bobrzyński. Nic nowego pod słońcem. Pośród toczących się obecnie sporów o podział historyi polskiej na okresy, recenzent przytacza i zaleca dziś jeszcze, jako najlepszy podział owego Pyrrhysa, który przyjmuje trzy okresy: monarchiczny do Kazimierza W., arystokratyczny do Kazimierza Jagielończyka i demokratyczny do końca, a w tym ostatnim okresie odróżnia epokę, gdy stanowiła większość głosów (od Kazimierza Jag. do Zygmunta I) epokę przewagi mniejszości (do Jana Kazimierza) i wreszcie epokę przewagi pojedyńczych osobistości czyli liberum veto (do końca). Podział zaprawdę wyborny i jeżeli kto uznaje z p. Bobrzyńskim że „celem“ nauki historyi jest podział na okresy (!), to lepszego podziału niż ów Pyrrhysa nie trzeba.

Praca historyczna p. Sutowicza p. t. „Stosunek Władysława Jagiełły do husytów czeskich“, aczkolwiek poświęcona przedmiotowi już tyle razy badanemu (niedawno jeszcze w Ateneum mieliśmy o tymże przedmiocie artykuł Smołki), zdradza jednak samodzielne korzystanie ze źródeł. Szkoda tylko że obrobienie niewszędzie gładkie i styl niezawsze pojętny.

Bardzo sympatycznie i zajmująco jest skreślony życiorys zgasłego niedawno rzeźbiarza Antoniego Oleszczyńskiego przez S. Duchińską.

To samo należy przyznać Obrazom z zamierzchłych dziejów „p. Glogera, zawierającym najnowsze wyniki archeologii przedhistorycznej.

Dokończenie dramatu „Syn Margrafa“ p. B. Grabowskiego pozwala nam wydać sąd o całości, jako o rzeczy napisanej dość zręcznie, tu i owdzie interesująco, ale o treści bladej, chociaż pod piórem genialnem mogłaby się stać wzniosłą i wysoce tragiczną. Wiersz biały w ogólności mierny.

Zajmujące i prostotą powabne, nie goniące za wielkiemi rzeczami, za nowością i głębokością, są notatki z podróży po Norwegii, kraju tak mało nam znanym, przez p. Bełzę.

Rozprawa filozoficzna p. Smolikowskiego: „Nirwana w obec metafizyki“ świadczy o sumiennych studyach autora i obeznaniu z dawniejszemi i nowszemi źródłami, dla zajmujących się filozofią rzecz to ciekawa, ale nie posiada zalet popularności które uczyniłyby tę pracę przystępną dla ogółu czytelników. Rozprawa ta przydałaby się do pisma wyłącznie filozoficznego, ale w takim miesięczniku, jak Biblioteka, która musi być nietylko naukową, ale zarazem i popularną, przedmioty tak abstrakcyjne odpowiednio traktować jest bardzo trudno; przedstawione zaś niepopularnie będą ciężkim balastem i nie zachęcą ogółu do filozofii, chyba przeciwnie, odstręczą go od niej jeszcze bardziej. Wskażemy np. na str. 104 (zeszyt lipcowy), gdzie krytyka pojęć Schopenhauera, Hartmana i Mainländera bardzo mało jest zrozumiałą.

P. Duchińska podaje w zeszycie lipcowym wiadomość o odnalezionych kilku kartkach pamiętnika Juliusza Słowackiego, z którego niedawno p. Gasztowt zdawał sprawę w Paryżu. Ciekawe tu są rzeczy o latach chłopięcych poety, o epoce studyów uniwersyteckich, o pierwszej miłości ku Ludwice Śniadeckiej i t. d. Przybywa tedy jeszcze jeden przyczynek do biografii poety, zawierający nieco szczegółów nowych, nieznanych ani z biografii Małeckiego ani z ogłoszonej przed trzema laty korespondencyi poety.

(d. c. n.)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Января 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Miałaś długi! pożyczałaś pieniędzy w villi gdzie nie wiedzieć co z niemi robić?... byłem przekonany że posiadasz znaczne oszczędności.

— Ach! nie mam odwagi powiedzieć ci... jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

— Mów wyraźnie, bo w żaden sposób tego nie odgadnę.

— Nie pogardzaj mną,.. oddałam wszystkie pieniądze temu niegodziwcowi... Powiedział mi że potrzebne mu są na urządzenie naszego mieszkania... że postanowił podziękować za służbę i zamyśla założyć jaki sklep... już sama nie wiem co mi gadał i obiecywał.

— A! przełożyłaś go nademnie że się nie tak długo namyślał — na dobre ci wyszły skutki tego pośpiechu... *Chi va piano, va sano.*

— Co ja teraz pocznę! wołała załamując dłonie.

Pomyślał chwilkę, a potem rzekł:

— Nie mogę cię tak zostawić na bruku; wsiądź do wózka. Posłuchała nie pytając gdzie ją zawiezie; dopiero widząc że zawrócił na drogę ku villi Hortensia, ośmieliła się zapytać gdzie ją wiezie!

— Czy znasz Monikę, tę biedną wdowę co mieszka w owej odosobnionej chatce na wzgórku?

— Co to trudni się praniem?... znam ją

— Myślę iż jeżliby chciała przyjąć cię do siebie, mogłabyś za to pomagać jej w robocie... zresztą zobaczemy, jeźli się nie będziecie mogły porozumieć, pomyślemy o czem innem.

Słońce zachodziło gdy stanęli przed chatą Moniki; poznała Franciszka i wyszła go powitać. Ogrodnik zsiadł z wózka, oddał lejce Fiorinie, a sam wszedł z wdową do chaty. Opowiedział jej w kilku słowach smutne położenie garderobianej, i oznajmił iż chciałby ją umieścić pod jej opieką. Mogłaby pracować wspólnie, dodał.

— A cóż umie robić?

— Szyć, cerować, prasować, nie wiem już co więcej, ale to dobra dziewczyna.

— A więc jeźli poprzestanie na tem co ja biedna ofiarować jej mogę...

— O! nie żądam abyś ją trzymała darmo; jeźli nie będzie mogła zapracować tyle ile potrzeba na jej utrzymanie, ja ci dopłacać będę... tylko niech ona nic o tem nie wie—po cóż ją upokarzać. Staraj się aby jej nie zbywało na niczem.

Wprowadził Fiorinę do izby; znały się z widzenia i porozumiały prędko. Monika zaniosła rzeczy Fioriny do małej ale schludnej przeznaczonej dla niej izdebki, i zostawiła ją z Franciszkiem. Fiorina podniosła na niego oczy, stał w rogu pokoju i patrzył na nią w milczeniu. Na myśl że za złe odpłaca jej dobrem, uczuła wyrzut sumienia i zbliżywszy się do niego ze złożonemi rękami, błagała o przebaczenie.

— Nie o przebaczeniu ale o odpokutowaniu za swą winę myśleć powinnaś. Mogę mieć litość nad tobą, ale nie mogę zapomnieć o twym upadku. Zresztą co cię może obchodzić moje przebaczenie kiedy bądź co bądź, wszystko między nami skończone... na zawsze.

Zapłakała gorzko i zapytała nieśmiało:

— Więc się już nigdy nie zobaczymy... więc opuszczasz mnie na zawsze?...

— No, możemy się widywać niekiedy, rzekł łagodniej. Służyliśmy w jednym domu, miłosierdzie chrześciańskie nie dozwala mi opuszczać koleżanki w nieszczęściu... i jako uczciwy człowiek, ilekroć będę mógł, nie odmówię ci swej pomocy.

Nie śmiała nalegać, znając nieugiętość charakteru Franciszka, wiedziała że jeźli raz coś postanowi, już tego pewnie nie zmieni na żadne prośby.

— Przyjmij serdeczne dzięki moje za opiekę jaką mnie dziś otoczyłeś, rzekła ze łzami, nie opuszczaj mnie... nie pogardzaj nieszczęśliwą,

— Bywaj zdrowa, odrzekł, pracuj, staraj się poprawić .. do widzenia.

Wyszedł prędko, mówiąc cicho do odprowadzającej go Moniki:

— Polecam ci tę biedaczkę... nie ma matki... wszyscy ją opuścili... pewien nędznik nadużył jej zaufania... miej o niej staranie, staraj się natchnąć ją dobrą myślą i wpajać w nią dobre zasady.

— Niech pan Franciszek będzie spokojny, będę się z nią obchodzić jakby była twoją siostrą.

Podziękował dobrej kobiecie i odjechał. Minąwszy mały dziedziniec odwrócił się i spojrzał na chatę. Fiorina stała w oknie patrząc za odjeżdżającym; pożegnał ją ręką, i wózek znikł w oddali. W pół godziny potem był już z powrotem w villi, i tam dowiedział się że hrabia jest znacznie gorzej. Objawiła się gwałtowna gorączka połączona z maligną;—doktór Valentino wprowadził Bertę do pokoju męża.

XIII.

Rana była ciężka, a gwałtowna przyłączająca się gorączka, nie wielką zostawiała nadzieję ocalenia hrabiego Cipriano. Doktór nie zaniedbywał żadnych środków jakie nauka lekarska nastręczyć może, otoczył go staraniami najtkliwszej przyjaźni, i ufny w pomoc natury postanowił uparcie walczyć z niebezpieczeństwem. Berta dopomagała doktorowi z zupełnem zaparciem siebie; tak więc chory pielęgnowany był jak najtroskliwiej przez zacnego i wiernego przyjaciela, przez swoją opuszczoną żonę która stała się dla niego prawdziwą siostrą miłosierdzia — i oboje ożywieni wspólną żądzą uratowania go, znajdowali siłę przetrwania tylu nieustannych trudów i bezsennych nocy, w szlachetnem zadowolnieniu jakie sprawia spełnienie obowiązku. Ileż to nocy spędzili przy łóżku chorego, bacząc na najlżejsze jego poruszenie, nie opuszczając żadnej sposobności przyniesienia mu choćby najlżejszej ulgi, oczekując z niewypowiedzianym niepokojem, aby choć słaby promyk nadziei wynagrodził ich starania!

Chwilami pojawiało się niejakie polepszenie, ale niebawem gorączka wzmagała się znów tak silnie iż lada godzina można było obawiać się końca. W tej strasznej walce między życiem a śmiercią, doktór śledząc bacznie wszelkie zmiany, chwytał każdą oznakę polepszenia i starał się pomagać naturze wszelkiemi środkami jakich tylko nauka dostarczyć mu mogła. Berta dopomagała doktorowi z kobiecą przenikliwością i poświęceniem; w najkrytyczniejszych nawet chwilach nie opuszczał ją spokój i pogoda umysłu; zdawało się że zapomina o własnych cierpieniach, kojąc cierpienia męża który tak ciężko przeciw niej zawinił, i że niebiańskiej doznaje rozkoszy, odpłacając dobrem za złe.

„Gdybyż przynajmniej mógł zrozumieć pani poświęcenie! mawiał niekiedy Valentino, gdyby mógł ocenić tak wielką szlachetność i choć uściśnieniem dłoni odpłacić za nie!... Gdybyż odzyskał przytomność i poznał cię choć przed śmiercią!...

— Dowie się o wszystkiem, jeźli nie na tym to na tamtym świecie,—odpowiedziała.

Valentino spojrzał na nią zdziwiony, w każdej innej chwili te słowa jej wywołałyby uśmiech na jego usta, ale w obec tego łoża śmierci ta niezachwiana wiara budziła w nim poszanowanie.

Po długiej kolei obaw i nadziei, po zaciętej walce silnej natury hrabiego Cipriano z ciężką i gwałtowną chorobą, gorączka zaczęła nareszcie się zmniejszać, rana zagajać i chory powolnie ale stanowczo wracał do zdrowia.

Pewnego poranku, równo ze wschodem słońca, Valentino opuścił pokój chorego w którym noc całą spędził prosząc Berty aby go zastąpiła. Uprzedził ją że zbliża się przesilenie, zalecił aby otworzyła okna dla odświeżenia powietrza i udał się do przyległego gabinetu, odpocząć nieco. Gdy spełniając rozkaz doktora, podniosła story i otworzyła okna, weszło do pokoju świeże wiosenne powietrze nasycone ożywczemi wyziewami roślin, światło zastąpiło ciemność. Berta stanęła przy łóżku wpatrując się w twarz chorego, który zdawał się wdychać z rozkoszą orzeźwiające powietrze. Nareszcie zwolna otworzył oczy; powiódł do koła niespokojnym wzrokiem, jakby chcąc rozpoznać gdzie się znajdował, i w końcu wlepił spojrzenie w stojącą przy nim kobietę. Berta blada i nieruchoma patrzyła na niego w milczeniu, promienie wschodzącego słońca padające na jej białą szatę i jasne włosy otaczające czoło, czyniły ją podobną do marmurowego posągu, uwieńczonego złotym diademem.

Wpatrywał się długo w tę piękną postać więcej niebiańską niż ziemską, ale jej nie poznał. Nie odzyskał jeszcze zupełnej przytomności, a Berta inna jakaś była teraz niż wówczas gdy ją raz ostatni widział. Niepokój, gorycze i zawody, tajony smutek i bezsenne noce, jak rzeźbiarz w glinie, zaznaczają na twarzy linje i zagłębienia; boleść odbija na niej swe zimne piętno. Berta nie była już teraz ową młodą dziewczyną gotową otworzyć swe serce nowemu życiu: a surowa powaga rozlana w jej twarzy, przypominała raczej owe starożytne dziewice Vesty, strzegące świętego ognia.

Wpatrywał się w nią długo, wyszeptał kilka słów niezrozumiałych, i nareszcie zapytał słabym głosem:

„Gdzie ja jestem?

— W villa Hortensia... a ja jestem Berta.

Chory zamknął oczy, po kilku chwilach otworzył je znowu i zaczął wpatrywać się w nią w milczeniu. W tem doktór wszedł do pokoju; Berta powiedziała mu:

— Otworzył oczy i przemówił.

— Czy poznał panią?

— Zdaje mi się że nie.

Valentino zbliżył się do łóżka.

— Cipriano, czy mnie poznajesz?

Chory uśmiechnął się lekko i skinął głową.

— Jakże się czujesz?

— Bardzo... bardzo osłabiony.

— Odwagi, bądź spokojny, niebezpieczeństwo minęło.

Cipriano patrzył na niego niepewnym jakby obłąkanym wzrokiem; zdawało się że pamięć nie wróciła mu jeszcze; po chwili zaczął znów niespokojnym wzrokiem wodzić po pokoju, nareszcie zapytał:

— Gdzie Sara?

Berta stała w rogu pokoju, poważna, nieruchoma i milcząca, nie spuszczając oczu z hrabiego. Valentino spojrzał na niego smutnie, i odpowiedział:

„Jesteś w twoim domu... zachowaj się spokojnie. nie myśl o niczem.

Jakby rozumiejąc polecenie doktora, Cipriano zamknął oczy i zasnął. Valentino zwrócił się do Berty, mówiąc:

— Cierpliwości!... nie jest jeszcze zupełnie przytomnym... gdy będzie zdolny zrozumieć poświęcenie pani, potrafi je ocenić.

— Pan Bóg mnie widzi... sumienie moje spokojne—dość mi na tem.

Od tej chwili, stan zdrowia Cipriano polepszał się stopniowo, sypiał spokojnie, przyjmował pokarmy, ale był bardzo osłabiony i mało mówił. Zdawało się że jeszcze nie zdaje sobie dobrze sprawy ze swego położenia, że pamięć nie wróciła mu jeszcze; przyjmował starania jakiemi go otaczano, nie pytając zkąd pochodzą. Niekiedy dziękował osobie podającej mu pokarmy, ale o nic nie pytał.

Berta okazywała się zawsze równie troskliwą i niezmordowaną; długie godziny przesiadywała przy łożu chorego, a doktór patrzył na nią zdala i podziwiał. Widział w niej coś nadludzkiego, niebiańskiego, czcił i uwielbiał jak świętość. Pokój ten stał się dla niego świątynią, w której każda myśl ziemska wydawałaby mu się profanacyą i świętokradztwem.

Nie nudził się wcale, zapomniał o trudach i nocach bezsennych tak już długo trwających, wpatrując się z zachwytem w tę wyjątkową istotę, nie odpowiadającą zupełnie jego teoryom o naturze.

Gdy już zupełnie minęło niebezpieczeństwo, doktór i Berta naprzemian dłuższego używali spoczynku; nareszcie Valentino wymógł na Bercie że odchodziła na noc do swego pokoju, a on pozostawał przy chorym. Ze wschodem słońca, hrabina wracała do pokoju męża; tak minęło dwa miesiące. Obojczyk się zrósł, rana zagoiła prawie; teraz już zdrowie powracało szybko. Cipriano mógł już podnosić się i z pomocą kamerdynera przechodził na fotel na którym przesiadywał po parę godzin, a dla rozrywki przeglądał ryciny różnych pism illustrowanych. Bojąc się silniejszych wzruszeń, doktór nie pozwalał mu jeszcze ani czytać ani pisać, i rozkazał chować wszystkie listy nadchodzące do niego podczas choroby. Czując się już znacznie silniejszym, Cipriano zaczął oburzać się na zbyt surowe wymagania doktora, i pewnego razu rzekł do niego szorstko.

— Niechże raz się skończy ten barbarzyński zakaz trzymania mnie w kuratelli, w odosobnieniu od świata. Jest to system nader zgubny, bo dręcząca mnie niepewność i niepokój, daleko więcej mi szkodzi niżby najgorsza wiadomość... Proszę każ mi przynieść moje listy.

Nie mogąc nakłonić go do uległości, doktór zmuszony był ustąpić, i tylko przedstawiwszy mu na jak wielkie naraża się niebezpieczeństwo jeźli nie zechce panować nad swemi wrażeniami, kazał kamerdynerowi przynieść hrabiemu cały pakiet nadesłanych do niego listów.

Cipriano oczekiwał ich z niewymowną niecierpliwością, a dostawszy nareszcie rzucił się na nie jak wygłodzony dziki zwierz na swoją zdobycz.

Zostawszy sam, najpierw odkładał na bok wszystkie listy nie nadeszłe z Wenecyi, szukając tylko listów Sary, a znalazłszy ich trzy, rozpieczętował drżącą ręką, ułożył porządkiem dat i zaczął chciwie czytać. Pierwszy malował gwałtowną rozpacz na wieść o odniesionej przez niego ranie; Sara ubolewała nad nieszczęsnym pomysłem aby kazać się przenieść do domu żony, gdzie nie mogła pobiedz tkliwem otoczyć go staraniem. „Raz pochwycony w takie sidła już pewnie się z nich nie wywikłasz, mówiła, kobieta czelna zawsze potrafi się usprawiedliwić. Kto wie nawet czy list ten kiedykolwiek rąk twoich dojdzie... kto wie jakiemi zasadzkami otoczą cię nasi nieprzyjaciele?... Następnie z rozpaczy przechodziła w zazdrość; lękała się aby pozorne usprawiedliwienia nie zniewoliły go starać się o przebaczenie swej winy, aby młoda żona nie starała się usidlić go do tego stopnia, aby unieważnienie małżeństwa stało się niemożebnem. i aby tym sposobem nie wydarła jej jego serca. Błagała go, aby jak tylko cokolwiek wróci do zdrowia, powziął stanowcze postanowienie, gdyż to anormalne położenie przedstawia same tylko zasadzki, groźby i niebezpieczeństwa.

Przysięgała że wiernie czekać na niego będzie, dziękowała za wspaniałomyślną troskliwość, którą powodowany, pragnął w razie nieszczęścia uczynić jej życie mniej bolesnom, zapewniając jednak zarazem że było to zupełnie zbytecznem, gdyż gdyby był poległ, i ona poszłaby za nim do grobu. Donosiła mu że zawiązała korrespondencyę z jego przyjacielem z Monza, który też zaraz po odbytym pojedynku doniósł jej o smutnem jego nastepstwie, i przyrzekł zawiadamiać o przebiegu choroby, ponieważ zamierza często zasięgać wiadomości o stanie zdrowia Cipriana. Wyczekiwała więc niecierpliwie listów tego usłużnego przyjaciela, który tak sumiennie wywiązywał się z włożonego na siebie obowiązku. Kończyła życzeniem jak najprędszego wyzdrowienia, aby mogła przycisnąć go do swego gorącego, dla niego tylko bijącego serca.

W drugim liście, pisanym parę dni później, malowała żywemi barwami swój niepokój, zazdrość i liczne miotające nią obawy. Zgodnie z uczynionem jej przyrzeczeniem, przyjaciel z Monza, udał się osobiście do wioski granicząccej z villa Hortensia i tam dowiedział się wszystkiego co mówiono o zaszłych w villi wypadkach. Jedni oskarżali hrabinę, inni bronili jej gorąco i całą winę składali na hrabiego. Nocną przygodę z Anglikiem opowiadano na różne sposoby. Jedni mówili że hrabina ocaliła swój honor poświęcając garderobianą, i przepłaciła na wagę złota ową bajeczkę zmyśloną na oszukanie hrabiego, który też dał się na nią złapać i wypędził z domu niewinnego kozła ofiarnego. Ale wszyscy wiedzieli że kochankiem garderobianej był ogrodnik a na dowód tego twierdzenia, podają: że wypędzona przez hrabiego panna służąca powróciła zaraz do wioski i mieszka w chatce pod parkiem, gdzie ją odwiedza prawdziwy, kochanek a hrabina daje jej na utrzymanie i korzysta z położenia męża aby go usidlić i pociągnąć w ten sposób, iżby nie było już tytułu unieważnienia małżeństwa. Rozpacz ogarniała Sarę na samą myśl tej nierozwikłanej sieci najniegodziwszych podstępów i intryg; obawiała się niewymownie szatańskiej przebiegłości przewrotnej kobiety pragnącej koniecznie dojść do celu, i posiadającej wszelkie ku temu środki: piękność, młodość rozum, majątek, wspólników, a nareszcie mającą za sobą—prawo.

Przypominała hrabiemu Cipriano wzajemną ich miłość i w ognistych wyrazach przyobiecywała nowe rozkosze, jeźli się nie da usidlić. Zachęcała go do wytrwania w powziętych postanowieniach, i odrzucenia rad niedołężnego przyjaciela jakim był doktór Gabrielli, który podobno chce koniecznie pojednoczyć małżonków, skutkiem wrodzonej swej dobroduszności, łatwej do pojęcia w człowieku który zupełnie nie zna ludzi i świata. Radziła aby nie ufał nikomu, a szczególniej przyjaciołom występującym w charakterze pośredników między nim a żoną, nie poprzestawał na złudnych pozorach, ale sprawdzał fakta z najprzebieglejszą przezornością, a tym sposobem nie dał wywieść się w pole. W końcu zaklinała aby nie zapominał swej nieszczęsnej kochanki, żyjącej zdala od niego; samotnej, bez opieki i obrony, pogrążonej w bezmiernej boleści, w dręczącym niepokoju i obawie, która umrze gdyby ją opuścił.

Trzeci list nosił świeżą datę i zawierał tylko kilka wierszy. Sara tłomaczyła iż dla tego nie pisywała że ów przyjaciel z Monza doniósł jej że stan zdrowia Cipriano znacznie się pogorszył, do tego stopnia, że nikogo nie poznaje a zatem nie może odbierać ani czytać listów. Opisywała mu niepokój, obawy, nadzieje, męki samotności w takiem udręczeniu, i długie godziny strasznej boleści, w oczekiwaniu listu zwiastującego o polepszeniu jego zdrowia. Winszowała mu i cieszyła się że nareszcie wyszedł z niebezpieczeństwa, zalecała największą troskliwość o swoje zdrowie, ale nie wspominała już ani o hrabinie ani o przyszłości. Prosiła aby po tak długiem milczeniu sam udzielił jej o sobie wiadomości, doniósł czy odebrał pierwsze jej dwa listy i czy może pisywać do niego, bez obawy że listy jej będą przejmowane.

Dreszcz oburzenia przebiegł hrabiego po przeczytaniu tych listów; zgroza, gniew, zazdrość, miotały nim na przemian. Ujrzał się otoczonym oszustami i niedołęgami, opłątanym siecią intryg, kłamstw i hipokryzyi... i to właśnie w chwili gdy się czuł mniej nieszczęśliwym, gdyż troskliwe starania i opieka jaką otaczała go Berta, pociągały go ku niej mimowolnie. Zaczynał smakować w tej atmosferze ciszy i spokoju, uśmiechało mu się tak nowe i nieznane dotąd życie. Przypominając sobie tę drobiazgową czujność aby w każdej chwili o ile można ulżyć jego cierpieniom, nie mógł wmówić w siebie że były wynikiem złych zamiarów... A jednak przywiedzione przez Sarę twierdzenia miały za sobą wielki pozór prawdy; ów przyjaciel zawiadamiający o plotkach rozgłaszanych po wsi, nie miał powodu ich zmyślać, —że Valentino był dobroduszny, o tem nie wątpił, nie było także niepodobieństwem żeby Berta była kobietą zepsutą i przewrotną, choć własne jego serce, zapewnie powodowane wdzięcznością za opiekę w chorobie, w żaden sposób uwierzyć temu nie chciało. Ale niewypowiedzianie lękał się śmieszności; rola oszukanego a zadowolnionego męża przejmowała go wstrętem, i bądź co bądź nie chciał

jej na siebie przyjąć. Przyszło mu na myśl zręcznie wybadać Franciszka: kazał zaraz przywołać go do siebie i po kilku słowach zapytał:

— Powiedz mi też, Franciszku, gdzie jest teraz Fiorina?

— Niedaleko villi: mieszka u niejakiej Moniki. praczki — ot, w tej chatce co ją widać na wzgórzu.

— Dla czegóż nie zamieszkała gdzieś bliżej kochanka?

— Chciała umieścić się gdzieś w Monza... ale już on ztamtąd wyjechał.

— A gdzież się udał?

— Do Wenecyi, razem ze swoim panem.

Usłyszawszy to hrabia uczuł się jakby piorunem rażony; zerwał się, wyciągnął ręce i omdlały opadł na fotel.

Przerażony Franciszek, pochwycił ze stolika flakonik z trzeźwiącemi kroplami, podsunął hrabiemu do powąchania, i drżąc jak liść podał mu szklankę wody. Cipriano napił się trochę, przyszedł zwolna do siebie, przesunął ręką po czole, odrzucił w tył włosy, jakby chcąc odpędzić myśl natrętną, otworzył oczy i nieruchomie zapatrzony przed siebie, pozostał tak czas jakiś. Franciszek spoglądał na niego niespokojny, nie śmiejąc ani się ruszyć, ani przemówić. Cipriano wyszeptał kilkakrotnie „do Wenecyi“ potem pochwycił rozłożone na stole listy. Ostatni wydał mu się nader zimny—zaczął więc odczytywać dwa pierwsze i uspokoiły go zapewnienia miłości i wierności, oraz wspomnienie samobójstwa. Ufność zastąpiła zazdrość, uspokoił się, kazał ogrodnikowi usiąść i wrócił do przerwanej rozmowy.

— Jeźli kochanek Fioriny odjechał, czemuż nie stara się o inną służbę.

— Stan jej zdrowia nie pozwala teraz na to — zresztą tak na razie nie mogła znaleźć miejsca.

— A któż płaci za jej utrzymanie?

— Nikt... pani hrabina przychodzi jej z pomocą... i ja dopomagam jak mogę.

Hrabia słuchał uważnie myśląc sobie: — Jednak to rzecz dziwna!—a głośno dodał:

— Słyszałem że w okolicy dużo gadają o tem... Co też takiego słychać?

— Niech to pana hrabiego nie dziwi że w małej wioszczynie lada co daje powód do plotek... wszystkie kumoszki zaczynają gadać, rozprawiać, komentować i przekręcać najprościejsze fakta, aż z nich licho wie co się wytworzy... Ale ludzie rozsądni nie zajmują się i nie zważają na podobnie niedorzeczne gadaniny.

— Dziękuję ci, Franciszku, możesz odejść, rzekł hrabia.

Ogrodnik skłonił się panu z uszanowaniem, i wyszedł na palcach.

„Od tego poczciwego Tyrolczyka nie można się nigdy niczego dowiedzieć dokładnie; na wszystko zapatruje się po swojemu, i trzeba zadać sobie pytanie: czy jest to oszust czy niedołęga?... Jednakże nie mam powodu mu niedowierzać...

W tem nagle przypomniał mu się Anglik.

— Norwich w Wenecyi!... w Wenecyi!... szeptał głosem tchnącym nienawiścią. W tej szatańskiej grze jaką rozgrywamy z sobą wyzywa mnie nieustannie, i jak zaczajony dziki zwierz nieustannie czycha na swą zdobycz... Gdy byłem obok Sary, on ukrył się w pośród wzgórz Brianza, czatując na Bertę która nosi moje nazwisko... gdy zamierzam ukarać go za jego zuchwalstwo, on rani mnie tak ciężko i przykuwa do łoża boleści, a nazajutrz leci do Wenecyi stawiać sidła na kobietę posiadającą moje serce!... A! może nawet marzy o podwójnym tryumfie... nie przestając na jednej pragnie posiąść obiedwie!... Ha! idź niegodziwcze!... śpiesz... probuj. posługuj się podstępami i złotem... nie lękam się! Sara pozostanie mi wierną... Ale tu, tu. wszystko pozostaje dla mnie nierozwikłane, otoczone tajemnicą... Jestże udowodnionem że ów człowiek wychodzący oknem był to rzeczywiście kamerdyner?... a zresztą, gdyby nawet tak było, któż mi dowiedzie że John był sam tylko, że nie towarzyszył panu swemu, aby go uprzedzić w razie niebezpieczeństwa?... Zapewnie spostrzegli się że Franciszek czuwa, i rozkazano kamerdynerowi odciągnąć go po za park, aby tymczasem pan jego mógł wyjść swobodnie!... To prawie niepodobna żeby ten Niemiec był tak głupi aby się miał opiekować cudzą kochanką, a Berta znów tak szlachetnie wspaniałomyślną aby wspomagała sługę, która ją tak bardzo skompromitowała... A! niepodobna mi dojść prawdy! w głowie mi się mięsza... wszędzie sama nieprzenikniona ciemność... to nieszczęsne małżeństwo doprowadzi mnie do zguby!... Ale z drugiej strony jakże wytłomaczyć sobie tę troskliwą opiekę i delikatne starania jakiemi otaczała mnie Berta... ten spokój i pogodę jej czoła, które winnyby być niemylnym znakiem czystości sumienia?... a to jej skromne i poważne obejście, tak różne od owej wyzywającej zalotności jakiej obawia się Sara?.. No' tak, ale któż może się pochlubić że zna kobiety?... zdolne one są posunąć się do ostatecznych krańców, tak na dobrej jak na złej drodze... W naszem strupieszałem, zepsutem społeczeństwie wszystko jest, możliwem... A Valentino!... ten człowiek nie wierzący w nic co inni wierzą... a który wierzy tak ślepo w rzecz niepodobną do wiary—w niezachwianą cnotę opuszczonej kobiety.“

Gdy Cipriano zatopiony był w tych myślach, Berta weszła do pokoju, a za nią lokaj niosący na tacy śniadanie. Sama wszystko ustawiła na stole, włożyła na talerz, napełniła szklankę świeżą wodą zmięszaną ze starem winem, przekroiła bułkę, ustawiła wszystko na właściwem miejscu. Przyćmiła nieco zbyt rażące wnikające oknem światło, gdy służący wyszedł zamknęła cicho drzwi, słowem wywiązała się ze swego zadania jak prawdziwa siostra miłosierdzia.

Patrzył na nią bacznie choć z nienacka, i czuł jakby ogarniający go prąd magnetyczny, niweczący wszelkie jego podejrzenia; dziękował jej myśląc czy nie urzekła podanej mu potrawy aby mu zawrócić w głowie.

Aż do przybycia doktora Gabrielli, rozmawiali o rzeczach obojętnych; z jego przyjściem rozmowa stała się więcej ożywioną; po chwili hrabina opuściła pokój.

Dnie upływały jednostajnie, siły wracały bardzo wolno. Czując się już zdrowszym, Cipriano pragnął często pozostawać sam na kilka godzin, pod pozorem zajęcia się interesami, a w rzeczywistości aby rozmyślać nad położeniem swojem. Szukał sposobu wyplątania się z nierozwikłanych sieci, i tak mu się to udawało jak ptakom złapanym w sidła, które chąc się z nich wywikłać, mocniej jeszcze ściągają oczka. Pisywał do Sary długie listy, ostrzegające o zasadzkach jakie zastawiać na nią będzie sir Norwich, i przyrzekał jechać do niej jak tylko będzie miał dość sił do odbycia podróży.

Pragnął jednak przed opuszczeniem villi Hortensia zakończyć raz stanowczo z kwestyą swego małżeństwa, i zdawało mu się że to nie trudne będzie zadanie. Trzeba było tylko wykazać: że małżeństwo równe zeru, zupełnie nie istniejące, nie może być ważne w obec prawa, które powinno było unieważnić prosty akt stanu cywilnego, krępujący dwie osoby wbrew ich woli. Jednak gdy zastanowił się rozważniej i bez uprzedzenia, w ciszy tego pokoju w którym był przedmiotem takiej troskliwości i delikatnych starań obrażonej żony, wtedy wyłaniały się rozliczne zawikłania i trudności, i nie widział sposobu ich usunięcia. Bo jakże tu dowieść nieważności małżeństwa, w ośm miesięcy po jego zawarciu? a potem, skoro kobieta zdradzona w sam dzień ślubu, nie uważała za stosowne wystąpić zaraz o unieważnienie, czyż niewierny mąż może dziś tego żądać, nie mając żadnych innych danych na poparcie swego żądania, jak jakieś niczem nieuzasadnione domysły? Postępek taki, dziś zwłaszcza, po zaciągnieniu względem żony takiego długu wdzięczności, byłby ogólnie potępiony i wystawił go na łup powszechnej pogardy.

Może lepiej już odjechać, opuścić żonę powtórnie? ale jak tu za trudy i bezsenne noce spędzone przy jego łożu, nową odpłacić zniewagą... zostawić ją znów samą w tej odludnej villi aby lecieć do kochanki?... I to wydawało mu się zarówno niemożliwem.

Ale cóż tedy pocznie? jak się wyplątać z tego położenia bez wyjścia?... Nie może przecie na całe życie pozostać rekonwalescentem, ani też poddając się swemu losowi, pozostać w niepewności, stać się ofiarą intryg prawdziwych czy domniemanych, żyć z kobietą narzuconą mu przez prawo, której nie kocha, a opuścić ubóstwianą kochankę która odebrała sobie życie nie mogąc przeżyć jego opuszczenia.

Nareszcie po długich namysłach, postanowił stanowczo rozmówić się z Bertą, w obecności jedynego przyjaciela któremu mógł ufać ślepo, i wziąść go za świadka powziętych po szczerem wytłomaczeniu i porozumieniu się postanowień.

Pewnego poranku, Berta zamierzała właśnie wyjść z pokoju i zostawić hrabiego z doktorem, gdy Cipriano prosił ją aby pozostała i chciała pomówić z nim w obecności jego przyjaciela. Była zadziwiona, oniešmielona prawie, ale czując że nie może uniknąć niezbędnego wytłomaczenia, wzięła krzesło i usiadła naprzeciw hrabiego. Słuchała uważnie i z poddaniem.

„Wiem że wam obojgu winienem życie, i czuję się w obowiązku wyrazić wam najżywszą wdzięczność moją. za starania i troskliwość jakiemi otaczaliście mnie — a na jakie niczem nie zasłużyłem.

— Nie przeczę że nie zasłużyłeś. odrzekł Valentino, ale nie jestem sędzią lecz przyjacielem twoim, byłem więc tylko posłuszny głosowi przyjaźni — co zaś do hrabiny, to anioł zesłany z nieba na ziemię, słuchała więc tylko wznioslych popędów swego szlachetnego serca... Więc nie mówmy o tem.

— Spełniłam tylko mój obowiązek; odpowiedziała Berta.

— Obowiązek! rzekł Cipriano, o! nie; nie masz żadnego względem mnie obowiązku... Odzyskawszy siły, powinnością jest moją najpierw wyrazić wam głęboką wdzięczność moją — a następnie poważnie pomówić o przyszłości.

Bladość pokryła twarze Berty i doktora; Cipriano nie zauważył tego i mówił dalej:

— Nie chciałbym mówić o przeszłości, pragnąłbym nawet zapomnieć o niej... nie jestem jeszcze nawet w stanie prowadzić zbyt długich rozpraw, mogących rozjaśnić niektóre wątpliwości moje, — zarzućmy więc zasłonę na przeszłość, której cofnąć niepodobna. Wyznaję winę moją, oskarżając o nią los... fatalność... społeczeństwo... nieprzeparte oko-

liczności, które nagle i wbrew woli mojej, zniewoliły mnie do opuszczenia dziewicy szlachetnego rodu, godnej najgłębszego szacunku, skutkiem nadspodziewanych i nieprzewidzianych wydarzeń, silniejszych nad wolę ludzką. Niejednokrotnie zdarza się w życiu naszem, że zgubne przeznaczenie, tajemniczą i nieprzepartą siłą, popycha nas w bezdenną otchłań.. Nie mówię tego na moje usprawiedliwienie, chciałbym tylko wykazać że nie działałem z rozmysłem... że wszystko to było nieprzewidziane —silniejsze nademnie!... Postąpiłem wbrew mojej intencyi, wbrew mojej woli uległem fatalnemu jakiemuś losowi... a następnie porwany wirem okoliczności, nie mogłem się już cofnąć... Bywają w życiu naszem tak gwałtowne prądy że zgniotą człowieka jak źdźbło trawy i wytwarzają niewinne ofiary. Na kogo spadać winna za nie odpowiedzialność?... nie umiem odpowiedzieć—to pewna że w takich razach człowiek nie jest winnym.

Cipriano zamilkł na chwilę: Valentino potwierdzająco skinął głową; Berta nieruchoma słuchała w milczeniu.

„W podobnym wypadku, jeden tylko pozostawał środek... przedstawić fakt ten tym od których zależało unieważnienie niemożebnego małżeństwa. Prosty obrządek, bez wynikających z niego następstw, jest istną mrzonką, i nie może na życie całe wiązać dwóch osób, które nieprzewidziane okoliczności na wieczny skazały rozdział. Prawo przewidziało taki wypadek—gdy więc on zachodzi, należy natychmiastowo żądać sprawiedliwości. Berta nie chciała tego uczynić — mnie więc nie wypadało wystąpić z żądaniem... a w następstwie okoliczności tak się powikłały, iż postawiły nas w nader trudnem położeniu. Nie moja więc wina jeźli dziś niewinna kobieta nie jest wolną zawrzeć innego związku z mężem własnego wyboru... Co teraz czynić? Czy pomyślałaś nad tem, Berto?... co postanowiłaś i jak zamierzasz postąpić?

— Ja? zastosuję się do twej woli.

— Nie mam prawa ci jej narzucać, odrzekł hrabia. Skoro los urąga prawu, wykazując mu nicość węzła które ono uważało za nierozerwalny, i ja nie mam zamiaru korzystać z praw których zrzekłem się w swojem sumieniu. Zanadto cię szanuję abym miał zbliżać się do ciebie i porzucać jak pierwszą lepszą, bo choć żadne prawo nie zabrania tego mężowi, nakazuje mi to honor i delikatność. Jesteśmy mężem i żoną tylko w aktach municypalności, ale w rzeczywistości żaden nie łączy nas węzeł i oboje jesteśmy zupełnie wolni. Zaciągnąłem względem ciebie dług wdzięczności, który nakazuje mi jak największe względy i przejmuje poszanowaniem winnem siostrze miłosierdzia. Powinienem więc uznać to wyraźnie, że małżeństwo nasze jest tylko aktem legalnym, pociągającym za sobą następstwa legalne, ale który nie może nakładać pęt na uczucia wyższe nad wszelkie prawa społeczne, ponieważ wynikają z samej natury. Tak więc w dziwnem położeniu naszem, trzeba nam ułożyć jakiś *modus vivendi*. Masz prawo nosić moje nazwisko i nie mam nic przeciw temu, powierzam ci je i pewny jestem że je poszanować potrafisz. Warunki zastrzeżone w intercyzie pozostają wswej mocy. Zresztą przyznaję ci zupełną wolność z której według swego uznania korzystać będziesz, w przekonaniu że nie nadużyjesz jej do tego stopnia aby obce dzieci nosiły moje nazwisko. Jest to jedyne zastrzeżenie, zresztą oboje jesteśmy zupełnie wolni. Od tej chwili zostawiam do twego rozporządzenia pałac mój w Mediolanie, możesz zamieszkać w nim kiedy zechcesz — sądzę jednak że może lepiej byłoby abyś odbyła długą podróż za granicę, aby uniknąć plotek i komentarzy świata. Ja także mam zamiar na dłuższy czas opuścić Włochy. Nie pytam w których stronach zamyślasz podróżować, będzie to dowodem wielkiej z twej strony grzeczności, jeźli raczysz zawiadomić mnie o tem przed wyjazdem. W dziwnem położeniu naszem nie widzę innej rady:.. odwołuję się do twej prawości i do zdrowego rozsądku, Valentino.

Zamilkł czekając na odpowiedź.

„Doprawdy jest to położenie tak szczególne, że nic radzić nie umiem, rzekł doktór. Myślę że może lepiej porozumieć się po przyjacielsku, niźli naprawiając niby złe oszukiwać się wzajemnie... Jest to nieszczęsna fatalność której poddać się trzeba... ale wszystko teraz zależy od uznania pani...

— Nie zmieniam mego postanowienia, odpowiedziała spokojnie; dobrze mi tu jest więc i nadal tu pozostanę.

— Daruj, Berto, rzekł nieco żywiej hrabia, ale dość już długo przebywałaś w tej pustyni. Dopókąd los nasz nie rozstrzygnął się stanowczo, nie mogę mieć za złe żeś tu oczekiwała... ale obecnie, po wytłomaczeniu jakie ci złożyłem, podobne postanowienie wydaje się trudnym do zrozumienia uporem, dziecinną protestacyą...

— Mylisz się najzupełniej, odpowiedziała. Może sądzisz że koniecznie domagam się uczuć jakich nie masz dla mnie, lub że pragnę skłonić cię do jakichś triwialnych ustępstw... nie wiem już co może przychodzić ci na myśl... Dla mnie już nie ma przyszłości!... wstręt do skandalu nie dozwolił mi uciec się do sądów—ale obecnie chcę według mego uznania korzystać z przyznanej mi wolności... a sądzę że nie zechcesz zmuszać mnie do podróżowania, wbrew mojej woli.

— Powiedziałem że jesteś zupełnie wolną, odrzekł łagodniej hrabia, i nie cofam mego słowa... rób więc jak ci się podoba... ale sądzę że tylko piękny czas przepędzisz w villi a na zimę wrócisz do miasta. Radzę ci, żyj jak wszyscy, masz wszelkie po temu środki, a sama młodość twoja przemawia za tem... Wszak raz tylko żyjemy... nie łudź się mrzonkami i romantycznemi urojeniami, bo z tego ani tobie ani nikomu nic nie przyjdzie, a będziesz nieszczęśliwą. Podróżuj, uciekaj od tej monotonnej samotności, powodującej melancholię i źle oddziaływającej na zdrowie... uciekaj od plotek wiejskich próżniaków, przebywaj w wielkich stolicach—tam się żyje, tu wegetuje tylko... Jeźli przekładasz piękną przyrodę, udaj się znowu do Szwajcaryi. podziwiaj wspaniałe wielkich jej gór krajobrazy, opuść te nędzne wzgórza, wśród których zaledwie jeden sezon bez nudów spędzić można. Powróć do miejsc zwiedzanych podczas podróży odbytych z matką; znajdziesz tam wspomnienia przeszłości, spotkasz i porobisz nowe znajomości, znajdziesz przyjazne serca które nastręczą ci pociechy i rozrywki stokroć milsze od tych jakie znaleźć można w jednostajnem pożyciu małżeńskiem i w nudnem zazwyczaj domowem życiu.

— Później może, obecnie pozostanę w villi.

Umowę tę przyjęła nietylko z poddaniem ale nawet z zadowolnieniem, bez wymówek i użaleń jakich można było oczekiwać od młodej, zawiedzionej dziewczyny, od żony obrażonej i opuszczonej, skrępowanej na całe życie nierozerwalnym węzłem, nie dozwalającym jej zakosztować rozkoszy serca ani radości rodzinnych. Wróciła do pokoju daleko spokojniejsza niż gdy go opuszczała, i uścisnąwszy dłoń doktora, który żegnając się ubolewał nad smutną jej dolą, rzekła:

— Jestem szczęśliwa, obawiałam się jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa. . teraz jestem spokojna i ocalona!

Doktór wyszedł nadzwyczaj zaintrygowany, myśląc sobie:

— Teraz już nic a nic nie rozumiem!... Cipriano znowu, że tak powiem, po zbójecku postąpił, i żona jego jest z tego zadowolniona!... Nie mam siły potępić jej ani jego... on zaślepiony waryat... hrabina jest osobliwszą kobietą... a ja?... nic nie rozumiem!

XIV.

Odebrawszy list hrabiego Cipriano, w którym zawiadamiał ją o mającym nastąpić pojedynku, a następnie list przyjaciela jego, donoszący o smutnem tegoż następstwie, Sara przez kilka godzin gwałtownej oddawała się rozpaczy. Byłaby pojechała natychmiast doglądać ranego, gdyby nie wyraźne polecenie hrabiego, aby dalszych wiadomości oczekiwała w Wenecyi. Napisała zaraz do Monza, zaklinając nieznanego korespondenta aby zawiadamiał ją codziennie o stanie zdrowia hrabiego i donosił o wszystkiem coby ją tam interesować mogło. Z niewypowiedzianym niepokojem oczekiwała godzin przychodu poczty, a jeźli ją zawiodło oczekiwanie, gorącemi zalewała się łzami; jeźli znowu otrzymała list, zdawał jej się zawsze jakiś lakoniczny i nie dość dokładny. Dnie wydawały jej się wiekami; krwią własną byłaby okupiła więcej szczegółowe wiadomości, a gdy tylko ów przyjaciel hrabiego zawiadomił ją o swej wycieczce do wioski i o wszystkiem co tam mówiono, napisała ów list który hrabia czytał we dwa miesiące później, a który, jak widzieliśmy, rozbudził znów w jego umyśle uśpione podejrzenia.

Dowiedziawszy się następnie że ranny dostał zapalenia mózgu, które pozbawiało go przytomności, że hrabina nieodstępnie czuwała przy jego łożu, uznała że dalsza z nim korrespondencya stawała się nietylko bezużyteczną ale i niebezpieczną, i zaprzestała pisać aż do czasu gdy dowiedziała się że wszelkie niebezpieczeństwo minęło i można być pewnym prędkiego powrotu do zdrowia.

Sir Tomasz Norwich przybył do Wenecyi zaraz po pojedynku, ale uznał za stosowne dopiero po upływie kilku dni udać się do Sary; znając jej porywczość i drażliwość, nie chciał wystawiać się na jej gniew gdyby przedstawił się tak zaraz, gdy jeszcze musi być bardzo rozdrażniona i zapewne znękana wiadomością o pojedynku i ciężkiej ranie hrabiego. Gdy nareszcie wybrał się do niej, wtedy przewidując że może nie zostałby przyjęty, kazał wywołać garderobianą Sary i tak duży rulon złota wsunął jej w rękę, iż dozwoliła mu wejść bez zameldowania.

Sara leżała na błękitnej atłasowej sofce; rozpuszczone włosy spadały na ramiona i na piersi, przeglądające z po za batystowej, koronkami zdobnej koszuli; miała na sobie bogaty kaszmirowy złotem haftowany negliż, na wpół otwarty, przewiązany w pasie, spadający na nogi spoczywające na miękkich poduszkach.

(d. c. n)

Opis do N-ru 6.

(Dokończenie).

N. 8. Stanik z długą baskiną i kamizelką. Krój na arkuszu N-r X, Fig. 40—46.

Fig. 40—46 podaje w naturalnej wielkości krój długiego stanika z baskiną; zestawienie części kroju dopełnia się podług odpowiednich litor. Kamizelka dodana z materji jedwabnej w paski; Fig. 46 załącza formę kołnierza; wykłady na rękawach odznaczone są cienką linją na formie.

N. 9. Kamizelka szydełkowa Krój na arkuszu Nr XI, Fig 47—49.

Biorąc się do roboty kamizelki potrzeba najpierw dopasować formę z papieru i do niej od czasu do czasu przykładać robotę, uważając ażeby zupełnie równała się z formą. Przody, boki i plecy zaczynają się od dołu na odpowiednią liczbę oczek; w miejscu odpowiednim na zaszewkę gubią się oczka przez kilka rzędów roboty; przybieranie i gubienie potrzebne dla formy dopełnia się z brzegów bocznych. W prawej połowie przodów robi się dziurki wypadające co 5 lub 6 rzędów; na każdą nie przerabia się trzech oczek lecz robi nad niemi oczka pow. które w następnym rzędzie są przerobione. Model był z czarnej włóczki ściegiem tunetańskim deseniowym, na który rozmaite próbki podawaliśmy w zeszłorocznych N-rach Tygodnika. Szlak 4 cent szeroki odrobiony był w ramach.

N. 10—11. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki na dodatku Nr VIII, Fig. 31.

Odrobiona jest z gładkiego i w kolorowy deseń przerabianego ciemno zielonego kaszmiru, z dodaniem kołnierza i mankietów aksamitnych. Spódnica nie dostająca do ziemi, w środku z przodu założona jest w kontrafałdę, w około zaś zaplisowana w fałdy po 7 cent. szerokie. Tunika z boków zebrana jest w fałdy do 88 cent. długości, u dołu zaś objęte wypustką; tylny bryt tuniki ma dodane z boków ranwersy po 7 cnt. szerokie, z materyału deseniowego. Stanik zapięty na stalowe guziki, ścięty skośnie u dołu, ma plecy trochę krótsze, przewiązane szarfą, przyszytą z boków pod kieszeniami. Kołnierz niedochodzący się szeroko, związany luźno spuszczoną krawatką.

N. 12—13. Suknia ze stanikiem kamizelkowym i draperyą. Krój draperyi na arkuszu Nr VII, Fig. 30.

Ryciny 12—13 przedstawiają przód i plecy sukni z materyału mieniącego ponsowo z zielonym (glacé); kamizelka i przybranie z materyału wełnianego tureckiego; guziki w guście tureckim. Na przodach stanika z długą baskiną naszyte są dwa trójkątne kawałki tureckiego materyału, liczące z przednich brzegów po 20, w górze po 39, z brzegów skośnych 43 cent. długości. Spódnica nie sięgająca ziemi, złożona w szerokie płaskie fałdy; draperya składa się z dwóch zachodzących na siebie części, których krój w maleńkim formacie załącza Fig. 30; *a* oznacza część zwierzchnią *b* zachodzącą pod spód, którą po złożeniu fałd oznaczonych punktami i krzyżykami, przyczepia się na spódnicy od dwukropka do gwiazdki. Górny brzeg od gwiazdki do krzyżyka i część prosta tylnego brzegu przyszywają się gładko, skośny zaś brzeg fałduje się ściśle i przypina kokardą do bryta tylnego, podług ryciny 13. Część zwierzchnia *a* na której środek odznaczony jest linją kropkowaną, zachodzi podług odpowiednich znaków na część *b*, którego przyszycie przykrywa. Okrągławo podcięty brzeg górny podchodzi aż do paska sukni, przyszyty jest szwem odwracanym i przy brycie tylnym przyczepiony na sukni. Skośny brzeg tylny jest ściśle sfałdowany i upięty tak jak część *b*; prosty bryt tylny złożony w kontrafałdę 14 cent. szeroką spada gładko jak na ryc. 13.

N. 17—18. Ubranie wizytowe z tuniką. Krój tuniki na arkuszu Nr. VI, Fig. 29.

Spódnica z niezbyt długim trenem zakończona jest 8 cent szerokiem plisowaniem i bufą z nagłówkiem 12 cent. szeroką Takiż garnirunek powtórzony jest dwa razy na brycie przednim z dodaniem 8 cent. szerokiego szlaku haftowanego kolorowo na jedwabnej crêpe-liss. Fig 29 załącza krój tuniki zakończonej falbanką i haftem, przyszytej w odstępie 24 od paska na spódnicy; *a* oznacza połowę przedniej części tuniki, sfałdowanej podług znaków i podpiętej w środku kokardą (podług ry. 17) z repsu jedwabnego wziętego podwójnie. Tylna część tuniki oznaczona literą *b* podpięta z boku kokardą. Stanik z podłużnym wykrojem, spięty oryginalnie na metalowe sprzączki, z przodu zakończony bawetowo, ma plecy ścięte w dwa rogi bawetowe, przepięte w środku kokardą. Przybranie stanika stanowi 20 cent. szeroki skos crêpe-lisse, ozdobiony haftem, z przodu w połowie długości drobniutko przemarszczony, wyżej zaś ku ramionom rozszerzony, a na środku pleców złączony w ząb.

Rycina 17 przedstawia suknię z blado różowego materjału, a ry. 18 suknię z popieliny jedwabnej pawiego koloru; zamiast haftu na crêpe-lisse który jest bardzo kosztowny, użyć można koronki wywiedzionej ręcznie nitką złotą.

Nr. 19—20. Suknia wizytowa z trenem zebranym w fałdę.

Odrobiona z oliwkowo-zielonego jedwabnego repsu, przybrana na ryc. 19 deseniowym aksamitem tegoż koloru a na ryc. 20 kosztowną ciemną turecką materyą, przerabianą złotem i ażurowemi złotemi guzikami. Stanik spięty na dwa rzędy, ma baskinę z tyłu podłożoną w kontrafałdę 10 cent. szeroką; przody i boki mają odmienne obłożenie 23 cent. szerokie. Przód sukni i boki przysłonięte są prawie zupełnie draperyą, można więc dać je z jakiegokolwiek materyału; tylny bryt trzeba podszyć sztywnym muślinem. Dolne przybranie stanowią trzy falbanki plisowane po 6 centymetrów szerokie, i plisa 6 cent. szeroka z tego co ubranie materyału, nad którą dane trzy węższe falbanki Na trenie zebranym w kontrafałdę spiętą kokardą dane dwie szersze plisowane falbanki z wachlarzowo ułożonym nagłówkiem.

N. 23. Płaszczyk z pelerynką dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu Nr. XIII, Fig. 55—59.

Odrobiony z szafirowego dyagonalu ma pelerynkę, kołnierz i mankiety obłożone białą koronką. Przykrojony podług Fig. 55—59 płaszczyk jest lekko podwatowany i przepikowany, pelerynka zaś ma podszewkę fularową lub z bawełnianej satynki.

N. 24—25. Sukieneczka wycięta dla dziecka lat 1—3. Krój na arkuszu XII, Fig. 50—54.

Ryciny 24—25 przedstawiają sukieneczkę przybraną w odmienny sposób lecz dopasowaną podług formy Fig. 50—54, dopełnioną z tyłu fałdowaniem 80 cent. szerokiem. Sukieneczka przedstawiona z przodu na ryc. 25 odszyta z bronzowego repsu, ma patki z bronzowego deseniowego aksamitu przykrojone podług Fig. 54. podszyte sztywnym muślinem i otoczone wąziutkiem plisowaniem. Na Fig. 50 odznaczone przecięcie w które wstawiona część plisowana u dołu 54 cent. szeroka guziczki złote.

Rycina 24 załącza model z niebieskiego kaszmiru, odrobiony plisami z tureckiego materyału; kieszonki są 10 cent. szerokie, 9 długie; szarfa której końce wpuszczone są na szwach bocznych liczy 75 cent. długości a 25 cent. szerokości Zapięcie dane wzdłuż pleców kryje się pod plisą środkową.

N. 30—31. Haft na poduszkę do kanapy.

Haft przedstawiony w maleńkim formacie na ryc. 30, wyszyty jest na tle kanwowem, ozdobiony pasami atłasowemi z aplikacją aksamitnych kwiatów i paseczkami z wąskiej wstążeczki wyszytej w deseń, danej dwa razy skośnie i na około brzegów. Na tle kanwowem 40 cent. długiem a 38 i pół szerokiem, nakleja się najpierw 2 blado niebieskie atłasowe pasy po 7 cen. szerokie, potem przykleja ponsową wstążeczkę 2 cent. szeroką, w drobny desenik, ozdobioną wyszyciem z filozeli żółtej, niebieskiej i ponsowej. Następnie aplikują się kwiaty wycięte z bronzowego aksamitu, których kształt przerysować można z ryc. 31; brzegi ich otoczone są bronzowym jedwabnym sznureczkiem, przyszytym filozela; bronzowy kordonek w dwóch cieniach służy do zapełnienia środków. Pasy odrobione wprost na kanwie, wyszyte są filozelą wiśniową i oliwkową w trzech cieniach ściegiem gobelinowym i jednakowym na dwie strony Rycina 31 wskazuje dokładnie rodzaje ściegów użytych w tym hafcie; przy pasach atłasowych dane wyszycie niebieską filozelą, ze ściegów zajmujących dwie nitki w szerz i cztery wzdłuż, przeszytych jedwabiem oliwkowym. Zakończenie brzeżne stanowi pięć rzędów ściegu gobelinowego wyszytych do cieniu w ten sposób iż kolor najciemniejszy wzięty w środek.



N. 1—4. Ubrania na lekcye tańca.

N. 1. Ubranie z wyciętym stanikiem. N. 2. Ubranie dla małego chłopczyka. N. 3. Ubranie ze stanikiem bluzkowym. N. 4. Suknia z vêtement.



N. 5. Czepeczek ubrany wstążką.

N. 32—35. Ubrania balowe.

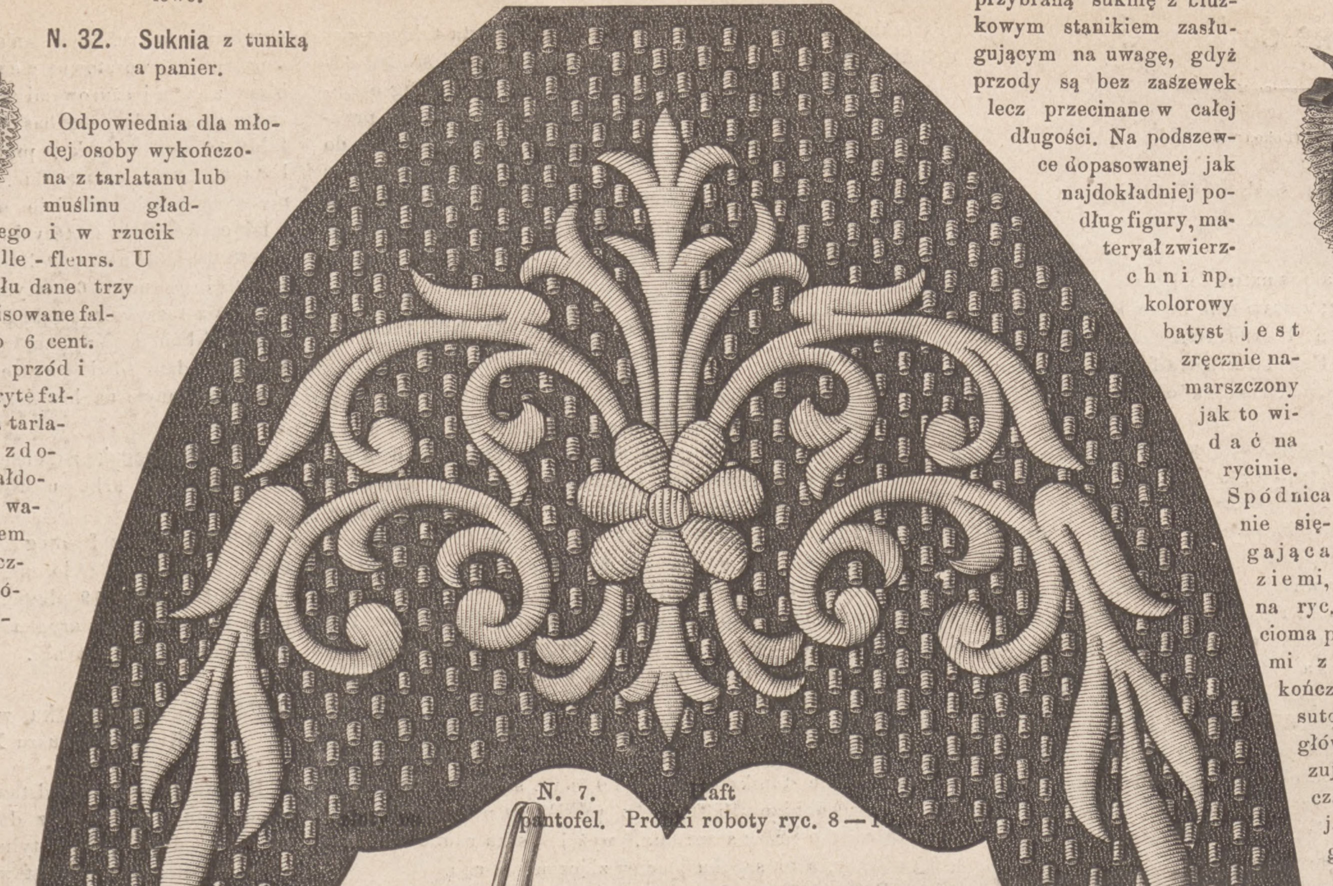
N. 32. Suknia z tuniką a panier.

Odpowiednia dla młodej osoby wykończona z tarlatanu lub muślinu gładkiego i w rzucik mille-fleurs. U dołu dane trzy plisowane falbanki po 6 cent. szerokie; przód i boki pokryte fałdowanym tarlatanem ozdobione fałdowaniem wachlarzowem danem podłużnie i poprzecznemi przepięciami z blado różowego atłasu. Części panier dane z tyłu, otacza illuzjowe plisowanie i ruszа atłasowa, przedłużona na kształt bretelek. Pasek i kokardy z różowego atłasu.

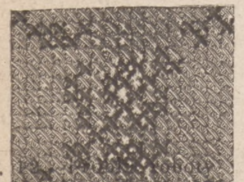
N. 33 i 28. Suknia przedstawiają odmiennie przybraną suknię z bluzkowym stanikiem zasługującym na uwagę, gdyż przody są bez zaszewek lecz przecinane w całej długości. Na podszewce dopasowanej jak najdokładniej podług figury, materyał zwierzchni np. kolorowy batyst jest zręcznie namarszczony jak to widać na rycinie. Spódnica nie sięgająca ziemi, na ryc. 35 i 29 naszyta pięcioma plisowanemi falbankami z których najwyższa zakończona 3 cent. szerokim suto nafałdowanym nagłówkiem. Fig. 15 wskazuje krój tuniki: *a* załącza połowę panier krajanego w jednym ciągu przemaszczonego środkiem i zakończonego plisowaniem; prosty bryt *b* upina się podług ryc. 29.



N. 6. Czepeczek ubrany trojkątną chusteczką. Wzór ryc. 42 w N. 8.



N. 7. Haft pantofel. Próbki roboty ryc. 8—10.



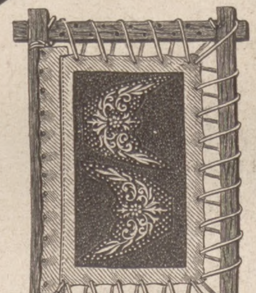
N. 12. ... szy...



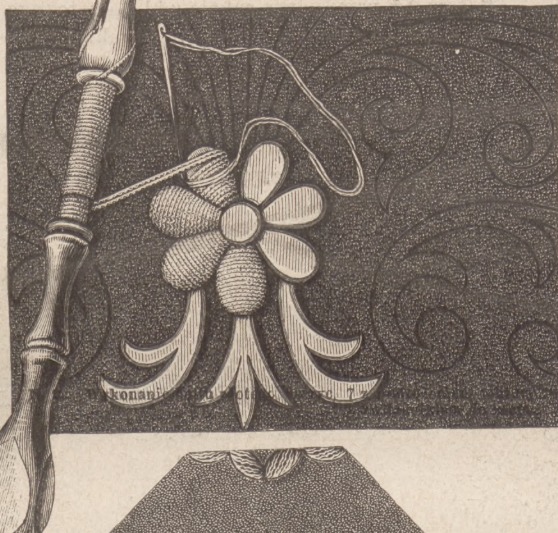
N. 13. ... szydełkowej do r. 11.

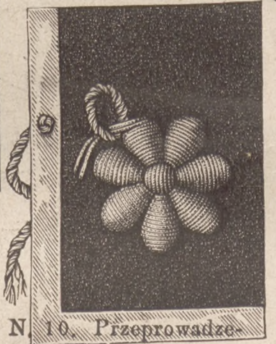


N. 11. Sakiewka robota szydełkową ozdobiona wyszyciem krzyżowym. Patrz próbki ryc. 12—13.



N. 8. Krosienka z wyszywanym haftem złotym do ryc. 7.





N. 10. Przeprowadzenie podwójnej nitki na lewą stronę. Do haftu złotem ryc. 7.



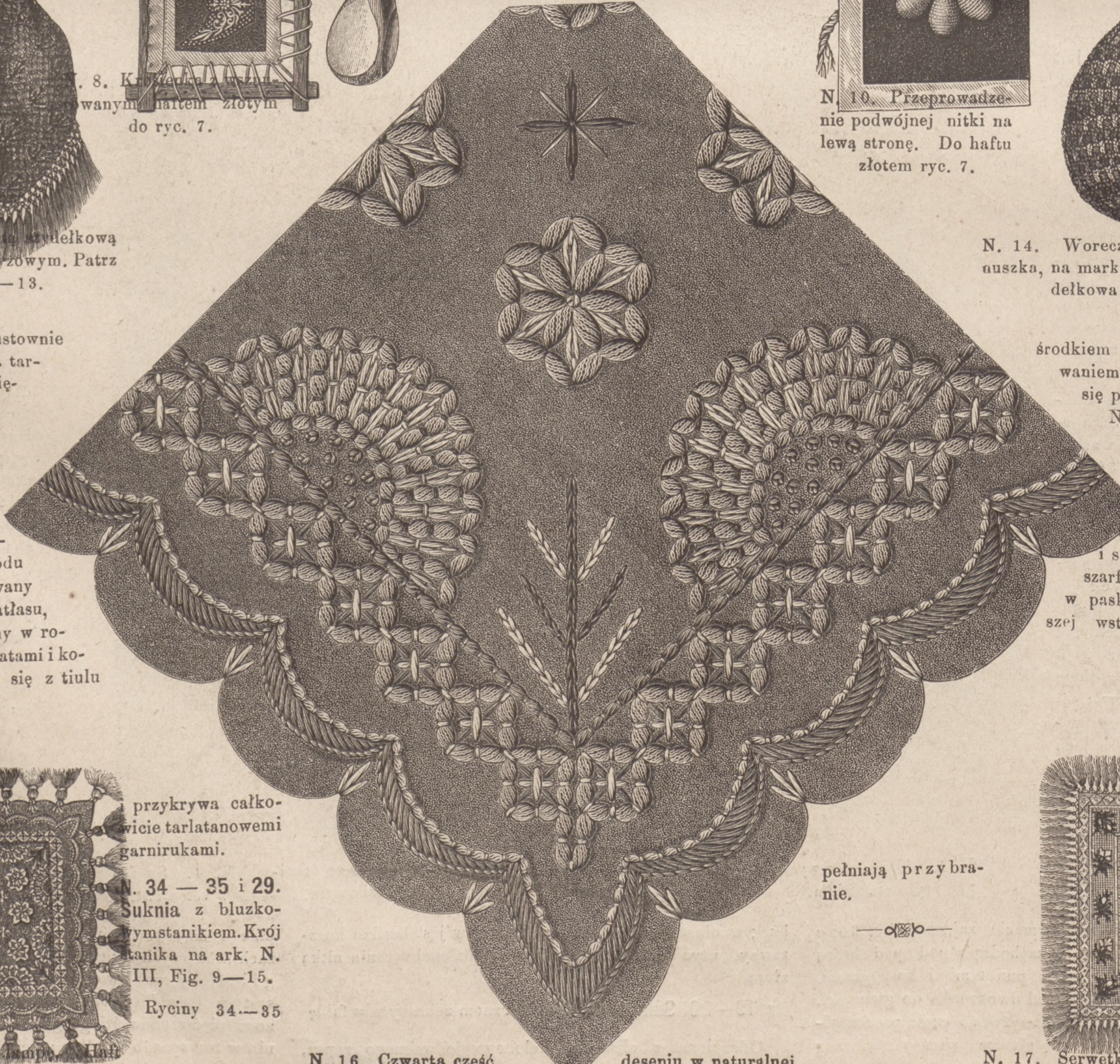
N. 14. Woreczek w kształcie dzbanuszka, na marki do gry. Robota szydełkowa i na drutach.

Na ryc. 34 widzimy suknię zakończoną bufami po 12 cent. szerokiemi; części panier są to skrzyżowane z przodu i spięte z tyłu pod sutą szarfą z wstążki atłasowej w paski. Kokardy z węższej wstążki co szarfa dopełniają przybranie.

Lekko i bardzo gustownie wykończona suknia biała tarlatanowa ze stanikiem ściętym w szpiczasty bawet z przodu, a z tyłu przedłużonym w fałdowaną baskinę ozdobiona jest girlandami z róż polnych i liści Stanik sznurowany z tyłu ma z przodu dodany plastron bufowany drobniutko z białego atłasu, na ramionach przedłużony w rodzaj berty przepiętej kwiatami i kokardami. Spódnica szyje się z tiulu i przykrywa całkowicie tarlatanowemi garnirukami.

N. 34 — 35 i 29. Suknia z bluzkowym stanikiem. Krój stanika na ark. N. III, Fig. 9—15.

Ryciny 34—35



N. 16. Czwarta część deseniu w naturalnej wielkości do ryciny 15.



N. 15. Patarafka pod lampę. Haft kolorowy na suknie. Patrz czwarta część deseniu na ryc. 16.



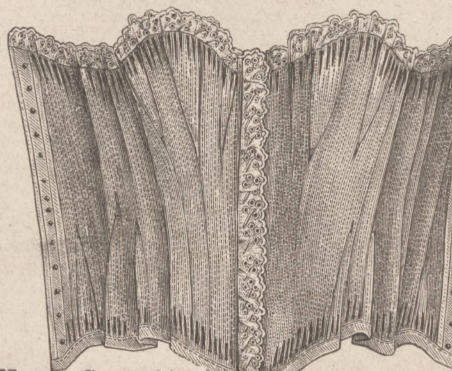
N. 17. Serwetka lub patarafka tkana fabrycznie i ozdobiona wyszyciem kolorowem. Patrz rzucik na r. 1 w N. 8.



N. 19—20. Suknia balowa ze stanikiem z bawetem



N. 18.
Koronka robiona na tiulu pełą cieniowaną koloru oliwkowego i niebieskiego.



N. 23. Gorset biały z falbanką haftowaną.



N. 21—22. Suknie balowe z bawetowemi stanikami.

Opis do N-ru 7.

N. 1 — 4. Ubrania na lekcye tańca.

N. 1. Suknia z wyciętym stanikiem.

Krótka, w koło fałdowana spódniczka, naszyta jest 2 razy drobno plisowaną falbanką z nagłówkiem. Przy staniku z długą baskiną i przy panier, węższe plisowanie przyszyte jest wypustką ze sznureczkiem. Całe ubranie może być z lekkiego wełnianego materyału, lub z muślinku albo batystu gładkiego albo mille-fleurs, można także łączyć materyał gładki z deseniowym jak na rycinie 1. Do strojniejszej wełnianej sukienki plisowanie daje się z materyi, a do kolorowego muślinku, z tiulu d'esprit albo białego muślinu. Stanik kwadratowo wycięty, zapina się z przodu pod wachlarzowo naszytem plisowaniem; panier z tyłu dopełnione prostym brytem, z jednej strony z przodu podpięte jest długą patką i kokardą.

N. 2. Ubranie dla małego chłopczyka.

Luźna kurtka i majtki do kolan odrobione były z granatowego aksamitu. Długi wykładany kołnierz oszyty białą koronką i spięty kokardą z niebieskiej wstążki; szmizetka batystowa plisowana. Pończochy granatowe, trzewiki wypięte.

N. 3. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Z kaszmiru śmietankowego koloru, ma spódnicę u dołu zakończoną 24 cent. szerokim garnirun-



N. 24. Majtki garnirowane plisowaniem i koronką.



N. 26. Turniura przypinana do staniczka.



N. 25. Krótka flanelowa spódniczka garnirowana plisowaniem i koronką nicianą.





N. 27. Balejeza pod suknię z trenem do przyfastrygowania.





N. 30. Plecy do ryc. 29.





N. 32. Plecy do ryc. 31.





N. 29 Negliż ranny z draperyą a panier. Patrz plecy na ryc. 30, model kroju na ryc. 44 w N. 8.

N. 33. Plecy do ryc. 24 w N. 8.

N. 28. Spódnica od sukni z przyfastrygowaną balejezą.

N. 34. Plecy do ryc. 25 w N. 8.

N. 31. Szlafrok ranny z kołnierzem wykładanym z klapkami. Patrz plecy na ryc. 32.



N. 35. Kapelusz którego rondko pokryte jest futrem psów morskich a główka futerkiem z piórek układanem. Odpowiednia mufka na rycinie 36.

kiem, złożonym z plisowania i zachodzącej na nie falbanki z nagłówkiem układanej w kontrafałdy. Nad garnirunkiem przód i boki spódniczki składają się z dwóch części, tunikowo w poprzeczne fałdy układanych, w środku kliniasto otwartych i złączonych kokardami, z tyłu dopełnionych prostym 60 centym. szerokim zręcznie podpiętym brytem. Kokardy są z wstążki a wypustki i pasek z materyi niebieskiej. Chusteczka z indyjskiego muślinu, oszyta plisowaną koronką, zapięta bukiecikiem. Pończochy śmietankowego koloru, haftowane jedwabiem niebieskim.



N. 37. Płaszczyk podszyty futrem. Kapelusz, tył na r. 38.



N. 36. Mufka z futerka układanego z piórek podszyta bronzowym atłasem, ozdobiona szeroką bronzową wstążką.

N. 4. Ubranie z vêtement.

Jasna sułtanowa spódniczka ogarnirowana jest dwoma plisowanemi falbankami i dwoma szerokiemi plisami z materyi. Vêtement z grenadyny w rzucik takiego jak spódniczka koloru, u dołu z przodu i z boków suto poprzecznie przymarszczone i ozdobione ranwersem z materyi, ma bryt tylny prosty, przyszyty od spodu do plecków z długą baskiną i zręcznie podpięty. Przy rękawach ubranych koronką kokardy z materyi. Trójkątna tiulowa chusteczka oszyta koronką.

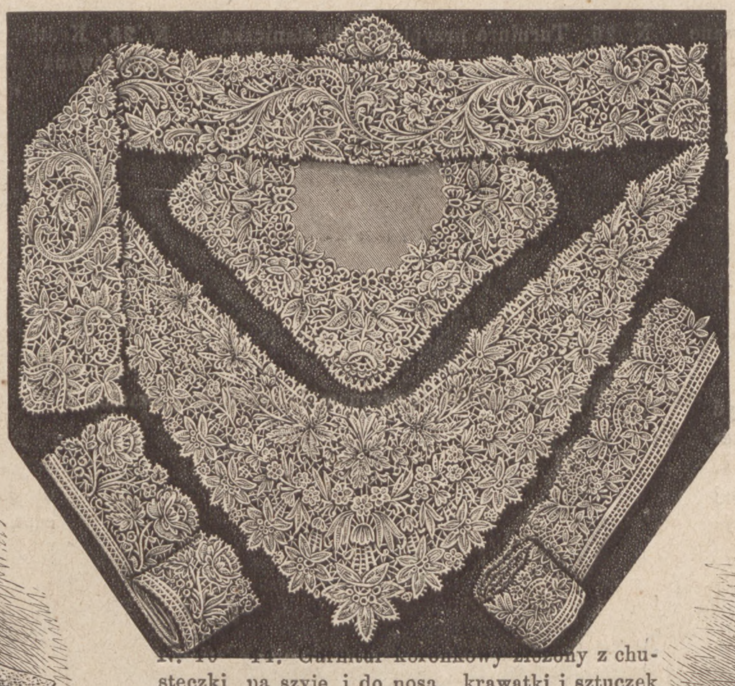
(d. n).



N. 38. Kapelusz kabryjolet z aksamitu i materyi ubrany wstążką i piórami. Przód na ryc. 37.



N. 39. Kapelusz z wysoką główką i wyginanem rondem.



N. 40—44. Garnitur koronkowy złożony z chusteczki na szyję i do nosa, krawatki i sztuczek koronkowych „Duchesse.“



N. 45. Chusteczka zwana „Paysanne,“ z materyi tureckiej i koronki.



N. 47. Kokarda do włosów ułożona z koronki, do ryc. 46.



N. 46. Kołnierzyk chusteczkowy z kokardą z krawatki koronkowej.